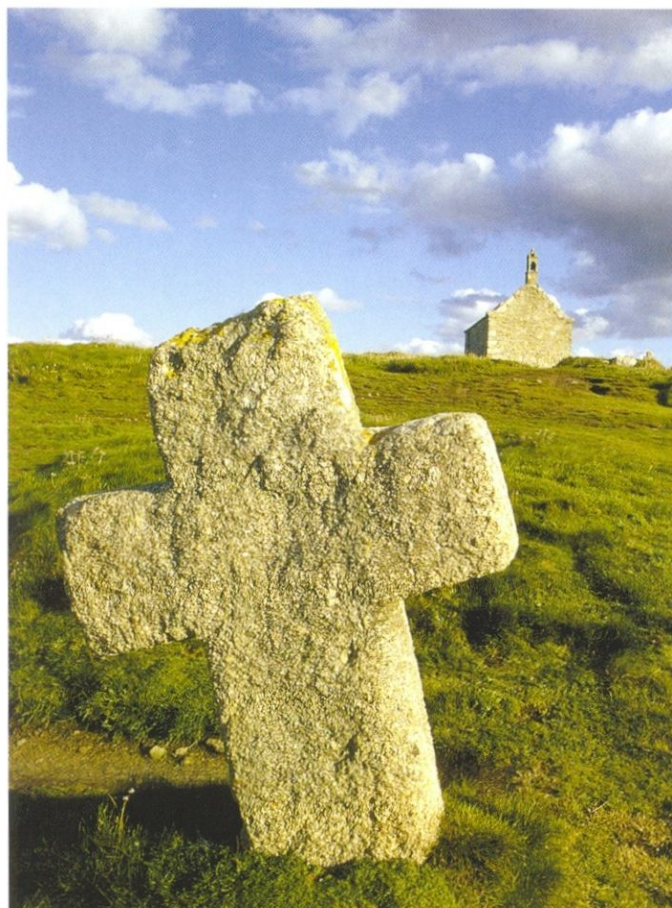


LOUIS GUILLOUX

MOJA BRETANIA



Olsztyn 2008

Louis Guilloux

MOJA BRETANIA

Przekład i opracowanie
Kazimierz Brakoniecki

Zdjęcia Bretanii
Claude Le Gall

OLSZTYN 2008

Podstawa przekładu i wydania:
Louis Guilloux „Ma Bretagne”
© Editions Folle Avoine 1998

© Przekład z języka francuskiego i opracowanie
Kazimierz Brakoniecki 2008
© Zdjęcia Claude Le Gall 2008

Książka ukazała się na Dni Bretanii listopad 2008
dzięki pomocy:
Domu Bretanii w Poznaniu
Domu Bretanii w Wałbrzychu
Michelin Polska S.A. Olsztyn

Dziękujemy!

ISBN 978-83-908534-8-2

Wydawca
Centrum Polsko-Francuskie Côtes d'Armor-Warmia i Mazury

Moja Bretania

W języku celtyckim Bretania to Breiz, co znaczy tyle co *wielobarwna, wielokolorowa*¹. Kraina różnorodnych barw i rozmaitych światła, w tym oczywiście i światła słonecznego. Chętnie oskarża się Bretanię o to, że nazbyt często nawiedzają ją deszcze. Prawdę powiedziawszy nie pada tu więcej niż gdzie indziej. Klimat jest bardzo łagodny, temperatura często jest tak samo wysoka w mieście Brest jak w Nicei. Zdarza się, że nawet wyższa.

Jakkolwiek jest, to dla mnie Bretończyka, Bretania jest najpiękniejszym krajem na świecie; tym regionem z całej Francji, w którym najlepiej się czuję. Kocham ją i i zawsze mi się wydawało, że gdybym nawet tutaj się nie urodził, gdybym tutaj nie dorastał, to i tak bym ją sobie wybrał.

Tym, którzy nigdy tu nie dotarli, pozwalam sobie doradzić, aby zbyt długo nie zwlekali. Pewnie, że niebo jest takie samo od wieków, że morze jest nadal piękne, nawet jeśli jest wzburzone, ale ziemia zmienia się i ludzie się zmieniają, zwyczaje zanikają, a stary język zamiera. Pozostaje duch miejsca, odwieczne budowle, wielcy świadkowie minionych czasów, począwszy od dolmenów i menhirów po zamki, kalwarie, źródła, katedry i dzwonnice, w których pobliżu – niestety – jakże często spotkać można wielkie zakłady, budowle, fabryki, zresztą jak wszędzie we Francji czy Europie, gdzie wszystko przekształca się i znosi w wielkim pożądaniu „postępu”.

Wydaje mi się, że najlepiej przyjechać do Bretanii wiosną lub jesienią. To wtedy Bretania prezentuje się najlepiej. Oczywiście, letnie słońce też nieźle jej służy, świeci prawie zawsze tak mocno jak wszędzie, lecz ja wolę Bretanię wiosenną, świeżą i uderzająco młodą albo spowitą jakże dyskretnym i czułym światłem jesieni.

Właśnie skończyłem czytać słynną *Prière sur l'Acropole* Ernesta Renana². Oto fragment drugiego rozdziału: *Urodziłam się, bogini o niebieskich oczach, z barbarzyńskich rodziców wśród dobrych i cnotliwych Kimeryjczyków, którzy mieszkają na usianym skałami i nawiedzanym przez liczne burze wybrzeżu ciemnego morza*³. *Słońca prawie nie znamy. Nasze kwiaty to wodorosty, algi i kolorowe mięczaki, które można znaleźć na dnie samotnych zatok. Chmury zdają się u nas nie mieć barwy, a radość jest zawsze wymieszana ze smutkiem. Jednakowoż zimne źródła biją na skałach, a oczy dziewcząt są jak te zielone źródła, w których głęboko w falujących trawach odbija się niebo.*

Pragnę zauważyć, pozostając z całym szacunkiem dla tego wielkiego umysłu, że odmalowany obraz jest nieco przyczerniony. Czy to całkowita prawda? Rzeczywiście, bretońskie morze rozbija się o brzegi najeżone skałami, ale nie jest cały czas ciemne, a burze nie są tu częstsze niż w innych stronach. Czyż między skalistymi brzegami nie znajdują się cudowne i szerokie plaże, do których nierzadko zagląda słońce? Czy naprawdę chmury w Bretanii wydają się bezbarwne?

¹ Bretania – „Breiz, Breizh, Bretagne <bigarré>” – celtyccy Brytowie mieszkali na wyspie zwanej Brytania (Britannica Magna) do VIII wieku, zanim zostali wypędzeni przez germańskie plemiona Anglów, Sasów, Jutów i Duńczyków; tak więc od V w. zaczęli kolonizować kontynentalny Półwysep Armorykański, który po pewnym czasie nazwany został Bretońskim od nazwy nowych osadników (inaczej Britannia Minor w odróżnieniu od utraconej Magna/Wielkiej; po francusku kraina ta nazywa się Bretagne, Bretania). Kraj Brytów nazwany został w starożytności przez Greków Pretaniké, następnie Bretanides/Bretaneia (Megala, Wielka), co w j. łacińskim (Rzym opanował tę wyspę w I połowie n.e.) dało Britannica Magna lub Maxima). Także w języku walijskim Prydain znaczy „kolorowy”. Nazwa ta powstała z konstatacji Greka Pyteasa (366-250 p.n.e), że autochtoni celtyccy malowali na różne kolory swoje nagie ciała („pomalowani ludzie”). Celtyccy koloniści z Brytanii byli – odróżnieniu od ich armorykańskich pobratymców – chrześcijanami. Informacje zaczerpnięte z arcyciekawych „Dziejów kultury brytyjskiej” Wojciecha Lipońskiego, Warszawa 2004. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

² Ernest Renan (1823-1892), wielki francuski religioznawca i krytyk chrześcijaństwa, filolog, pisarz, historyk pochodzenia bretońskiego; jego najsłynniejsze dzieła to *Historia początków chrześcijaństwa* (1863-1881), *Historia narodu izraelskiego* (1887-1893), *Życie Jezusa* (1863). W rodzinnym i kiedyś bardzo religijnym Tréguier (departament Côtes d'Armor) stoi pomnik Renana, a w dawnym domu mieści się muzeum. W tej samej miejscowości czczony jest bretoński święty Yves Helory, o którym dalej.

³ Indoeuropejskie (może nawet celtyckie) plemię Kimeryjczyków (Kimerów) opisane zostało przez Homera.

Bretońskie niebo jest jednym z najcudowniejszych, jakie można podziwiać, a to z powodu jego koloru czy układu pędzących, stale zmiennych i uśmiechniętych chmur. Od otwartego morza, gdzie się narodziły, przynoszą odczucie przestrzeni i wolności.

Jeżeli chodzi o kwiaty, to jest ich mnóstwo i są wszędzie, poczynając od sławnych żarnowców, które wraz z wrzosowiskami pokrywają całe połacie lądu. Kwiat żarnowca, ten złocisty kwiat, który chyba lepiej niż jakikolwiek inny potrafi przyjąć i odesłać światło.

Kwiaty! Cóż za cudowny czas, kiedy przychodzi pora kwitnienia jabłoni, wiśni, brzoskwiń! Czyż Chateaubriand nie przytacza w swoim sławnym fragmencie o wiosnie w Bretanii nazw wielu czarujących kwiatów?⁴ *Ziemia pokrywa się margerytkami, bratkami, żonkilami, narcyzami, hiacyntami, zawilcami* – pisze, a należałoby jeszcze dorzucić delikatną mimozę oraz wszystkie te kwiaty egzotyczne, tak często spotykane w Bretanii, które rozślawiają wyspę Bréhat oraz przylądek Quiberon z licznymi otaczającymi go wysepkami.

Pozostaje z nami radość, która jest jakby nieco smutna, aby przypomnieć tu nasz charakter bretoński, ten rodzaj „choroby” zwanej przez Jeana Greniera „celtyckością”⁵.

Czyż Proust ze swojej strony nie kazał jednemu ze swych bohaterów powiedzieć, że Bretania jest niezdrową krainą dla umysłu już o władniętego marzeniem?

*

Zajrzyjmy do szkolnych podręczników z początku XX wieku, z których korzystaliśmy jako niewinne dzieci. Gustave Lanson był naszym wielkim mistrzem w dziedzinie historii literatury francuskiej. Nauczał nas, że opowieści bretońskie dobitnie zaznaczyły swoje wejście na literacką scenę jako rewanż rasy celtyckiej, żarliwej rasy, która pomimo dominacji nigdy nie poddała się cywilizacji rzymskiej, ponieważ obdarzona była geniuszem całkowicie od niej odmiennym.

Od Gustave’a Lansona przejdźmy do Julesa Micheleta i zajrzyjmy do II tomu jego *Histoire de France*, do rozdziału z księgi III zatytułowanego *Tableau de la France*, w którym jest powiedziane, że *od studium o Bretanii chcemy rozpocząć omówienie Francji. Najstarsza córka Monarchii, prowincja celtycka, zasługuje na pierwsze spojrzenie.*

Michelet zajmował się również intensywnie problemem języka bretońskiego i jego stosunkiem do języka francuskiego.

Dzisiaj językiem bretońskim mówi w zachodniej części Półwyspu Bretońskiego, to znaczy w Basse-Bretagne, około osiemset tysięcy Bretończyków, w których skład wchodzi wszyscy mieszkańcy departamentu Finistère i około połowa ludności departamentów Morbihan i Côtes-du-Nord (od 1990 r. Côtes d’Armor)⁶.

To bardzo stary język, o którym uczeni nam mówią, iż dwa, trzy wieki przed Chrystusem, w epoce jego największej ekspansji, używany był na przeważającym obszarze Europy od Morza Czarnego aż do Oceanu Atlantyckiego oraz na północy Włoch, w Hiszpanii i na Wyspach

⁴ François-René de Chateaubriand (1768-1848) – jeden z największych twórców francuskich pochodzenia bretońskiego, dyplomata, autor m.in. *Mémoires d’outre-tombe* („Pamiętników zza grobu”), w których opowiada o swoim dzieciństwie spędzonym w Bretanii.

⁵ Jean Grenier (1898-1971) – francuski pisarz i myśliciel pochodzenia bretońskiego; był profesorem filozofii Alberta Camusa w Algierze. Przyjaźnił się z Louis Guilloux, którego poznał latem 1917 roku w Saint-Brieuc.

⁶ Bretania składa się z pięciu historycznych departamentów: Finistère, Morbihan, Côtes d’Armor (do 1990 r. Côtes du Nord), Ille-et-Vilaine (ze stolicą prowincji Rennes) oraz dodatkowo z Loire-Atlantique (do 1957 Loire-Inférieure z dawną stolicą książęcą Nantes), ten ostatni został w 1941 r. decyzją administracyjną rządu Vichy oderwany od Bretanii. Obecnie, po 35 latach od napisania powyższych słów, językiem bretońskim stale posługuje się nie więcej niż 220 tysięcy mieszkańców (głównie w zachodniej części kraju), z czego 64% użytkowników ma więcej niż 60 lat, a 4% mniej niż 40. Utworzenie w 1977 roku bretońsko-francuskich szkół stowarzyszenia Skol Diwan miało za zadanie powstrzymanie upadku języka narodowego. Od niedawna tworzone są ponadto dwujęzyczne klasy w oświacie publicznej i prywatnej. Ogółem na początku 2006 roku w szkolnictwie tym uczyło się ponad 11 tysięcy uczniów. Działają bretońskojęzyczne stacje radiowe, liczne wydawnictwa, gazety, stowarzyszenia społeczno-kulturalne, partie, instytucje, jak np. zasłużony Institut Culturel de Bretagne.

Brytyjskich. W naszej Armoryce język ten dzieli się na cztery duże dialekty, z których jeden „vannetais” (departament Morbihan) bardzo różni się od trzech pozostałych. Tym językiem mówi się, ale generalnie nie zna zasad pisania i czytania. Jest jednak kilku odważnych, jak Jacques Hélias, człowiek teatru oraz kilku poetów, którzy starają się go zachować⁷. To wymierający język, upokorzony przez historię, spauperyzowany, dla uszu cudzoziemca brzmiący jak jakiś *szwargot* („baragouiner”).

Rzeczywiście, powiada się, że Bretończycy, którzy podróżowali po Francji, nawet gdy reprezentowali obytych ludzi z wyższych sfer, podczas wielkich przyjęć na królewskim dworze w Wersalu od czasu do czasu zwracali się z prośbą, aby podać im „bara” albo „gwin”. Powodowało to oczywiście uśmiešky na twarzach markizów, którzy wyśmiewali przybyszy. Można jednak zauważyć, że na stole jego Królewskiej Mości chleb i wino, jak wszędzie na chrześcijańskim świecie zresztą, są znakami duchowej jedności (komunii).

Język bretoński, upokorzony i spauperyzowany jak w podbitym kraju (który nigdy takim naprawdę się nie stał), przysłowiową siłą rzeczy obrał naturę języka przede wszystkim chłopów. Wstydi się go natomiast wielu bretońskich mieszczan, którzy rozumieją go, ale prawie wcale nim nie mówią i nie uczą swoich dzieci. Te ostatnie mogą się z nim zapoznać dzięki służbie, domownikom, dzięki mowie jakiejś starej niańki, jeśli jeszcze takowe są.

Chociaż użycie tego czcigodnego języka obecnie maleje, to powinno się podziwiać siłę charakteru tych ludzi, którzy go do naszych czasów utrzymali oraz wyrazić zdziwienie, iż język ten – poddany tylu zagrożeniom przez wieki – jakimś cudem istnieje. Zapewne bretońscy księża mają wielkie w jego podtrzymaniu zasługi. Czyż bretoński nie jest – dla tych, którzy nauczyli się go od swojej matki – językiem modlitwy, religijnych pieśni, spowiedzi?

*

Z narodzinami łączy się przypadek. To przypadek kazał mi urodzić się w Saint-Brieuc w odległości kilku mil od Lanvollon, gdzie przebiega granica lingwistyczna, co spowodowało, że zostałem „ciemnym Bretończykiem”, to znaczy Bretończykiem nieznającym języka swoich przodków. Nigdy się z tym nie pogodziłem. To może w części dlatego – chociaż były i inne powody – zawsze broniłem języka bretońskiego i uważałem za obraźliwe wszystkie prześladowania, których był i jest on ofiarą.

I chociaż zostałem „ciemnym Bretończykiem”, mówiącym w „gallo”, jednym z „Briochin”, bo tak nazywa się mieszkańców Saint-Brieuc, to pozostałem w pełni solidarny z całym ludem bretońskim⁸.

⁷ Pierre Jakez Hélias (1914-1995) – jeden z największych pisarzy i intelektualistów bretońskich piszących w języku ojczystym oraz w j. francuskim; autor m.in. bestsellerowych wspomnień i rozważań o dawnej Bretanii zatyt. *Le Cheval d'orgueil* (1975) oraz *Le Quêteur de mémoire* (1990). Louis Guilloux, będąc z przekonania socjalistycznym humanistą, nie wspomina o Roparz Hemonie, który przed II wojną światową skodyfikował zasady pisanego języka bretońskiego, jego gramatykę i ortografię, ponieważ Hemon był aktywnym działaczem narodowej prawicy bretońskiej, która w okresie okupacji niemieckiej kolaborowała z III Rzeszą. Charakterystyczne jest i to, że Guilloux podaje imię Héliasa we francuskiej wersji jako „Jacques”.

⁸ Miasteczko Saint-Brieuc, stolica departamentu Côtes du Nord (obecnie d'Armor), zaczęło rozwijać się w II połowie XIX wieku dzięki rozbudowie kolei oraz lokalnego portu morskiego; nawet do czasów współczesnych nie przekroczyło nigdy liczby 50.000 mieszkańców. Ojciec Louis'a Guilloux był szewcem, aktywnym członkiem partii socjalistycznej na początku XX stulecia. W odróżnieniu od południowej (i po części zachodniej) Bretanii ten północny departament zachował po dzień dzisiejszy charakter lewicowy. „Le gallo” to stary, regionalny dialekt francuski, który powstał na bazie ludowej łaciny, granica jego stosowania przebiegała właśnie w pobliżu Saint-Brieuc. Obszar ten zwano Haute Bretagne. Dialekt *gallo* odradza się od 1990 roku, powstają w nim nawet powieści. Główne stowarzyszenie lingwistyczne to Bertaèyn Galeizz.

Mówiąc o ukochanej Bretanii, jakże mógłbym nie wspomnieć mojego rodzinnego Saint-Brieuc! Jeżeli o urodzinach decyduje przypadek, to mimo wszystko najważniejsze jest urodzić się u siebie. Ja zawsze w Saint-Brieuc byłem u siebie.

Ja także urodziłem się w barbarzyńskiej rodzinie dobrych i cnotliwych Kimeryjczyków – 15 stycznia 1974 roku minie 75 lat! To ważne wydarzenie dokonało się w mansardzie domu na ulicy Chapitre w Saint-Brieuc, które wówczas było malutkim miastem, chociaż stolicą departamentu. Od tego czasu bardzo urosło.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem przychodząc na świat – jak mi opowiadano – było szybkie zaśnięcie. Obudziłem się dopiero w południe następnego dnia przy dźwiękach dzwonów naszej katedry Saint-Etienne. Kilka dni później dzwony ponownie zabiły podczas mego chrztu, w ten sposób zapowiadając całemu ludowi, że nowy Bretończyk dołączył do ich wspólnoty, która wówczas, jeśli wierzyć naukowcom, liczyła w całości trzy miliony dusz⁹.

Bez względu na to, jak daleko sięgam wstecz w poszukiwaniu przodków, odnajduję samych Bretończyków. Jedni, jak moja babka ze strony ojca, pochodzą z okolic Lamballe, drudzy, ze strony matki, z okolic Lannion. Jeden z moich antenatów miał przybyć z Roscoff, gdzie wykonywał zawód murarza, ale to nie jest takie pewne. To byli biedni ludzie, którzy pozostawiali po sobie niewiele dokumentów. Jedno jest natomiast pewne, że moi przodkowie, którzy przybyli z Lannion czy Roscoff, byli Bretończykami mówiącymi po bretońsku. Moja babka ze strony matki знаła jeszcze kilka słów starego języka, podczas gdy pozostali, jak na przykład babka ze strony ojca, posługiwali się prawie wyłącznie gwarą typową dla wsi położonych wokół Saint-Brieuc i Dinan.

Jaka była pogoda tego dnia, 15 stycznia 1899 roku? Połowa stycznia, to pełnia zimy. W Bretanii śnieg rzadko pada, lecz nie jest nieznanym. Możliwe, że padało. Możliwe, że wiatr wiał od pobliskiego morza. W każdym razie niebo było szare, a moje pierwsze wyjście na ulicę w ramionach mojej matki w stronę katedry Saint-Etienne, gdzie miano mnie po chrześcijańsku ochrzcić, niewątpliwie stało się – tak jak to wyglądało w przypadku pogańskiego chrztu Kimeryjczyków – pierwszym chrztem z chmur pędzonych zachodnim wiatrem, wolnym i silnym tchnieniem znad pełnego morza.

Dobrze poznałem drogę, która prowadziła nas w kierunku katedry. Po opuszczeniu ulicy Chapitre musieliśmy przejść przez plac Puits-au-Lait, następnie ten Marché-au-Blé, skierować się w ulicę Grenouillère, a po niej w ulicę Saint-Gilles, skąd już widać szczyt katedry, aby z kolei przejść całą ulicę Préfecture, żeby dostać się do naszego dużego placu przed katedrą, do której wchodziliśmy głównym jej przedsionkiem.

Jeszcze wiele razy w moim życiu miałem wchodzić do katedry tym głównym wejściem.

*

Musi upłynąć dużo czasu, wydarzyć wiele rzeczy, zanim dziecko dorośnie do tego wieku, kiedy dowie się, że jest Bretończykiem, czego i tak od razu nie zrozumie, ale zaakceptuje ten fakt, jak wcześniej bezwarunkowo tyle innych oczywistych spraw i rzeczy. Przecież nigdy nie dyskutuje się nad swoim imieniem, które otrzymało się na chrzcie: imię Louis ma i ojciec, i dziadek. François to ojciec chrzestny, a matka chrzestna to Marie.

Prawdopodobnie dorośli, w których cieniu żyje dziecko, nie będą wcale zmuszeni do wytłumaczenia mu, że imiona jego własnych czy chrzestnych rodziców nadawane są zgodnie z

⁹ Oblicza się, że w historycznej Bretanii nadal mieszka niewiele więcej niż trzy miliony mieszkańców. W XIX w. najbardziej zaludnionym departamentem był właśnie Côtes d'Armor, a obecnie Ille-et-Villaine ze stolicą prowincji w Rennes. Bretania stała podległa wielkim falom emigracji (głównie do Paryża ale i do Ameryki) i chociaż od lat 50 XX w. zaszło wiele niezwykle pomyślnych zmian na Półwyspie Bretońskim (rozwój turystyki, rolnictwa, usług) to Bretończycy, szczególnie młodzi, emigrują mimo wszystko za ciekawszą pracą.

wymogami starej, katolickiej i bretońskiej tradycji. Dziecko i tak nie jest w stanie z podanych faktów wyciągnąć wniosku. Umiejętności tego typu jeszcze są poza jego możliwościami.

Biorąc to wszystko pod rozwagę, czy nie można byłoby zaryzykować pytania, co to znaczy być Bretończykiem i dlaczego ktoś nim jest? Odpowiedź mogłaby paść taka: jesteś Bretończykiem dlatego, że twój ojciec i matka są Bretończykami, a sami Bretończycy to ludzie mieszkający w Bretanii. Ale co znaczy Bretania? Bretania! Przecież to nasz kraj i kraj naszych przodków. A co to jest kraj? Kraj to jakaś część świata. Dobrze. Ale wtedy musiałbyś wiedzieć, co to jest świat. Nie jest to łatwe. Dowiesz się o tym w szkole, do której pójdziesz, kiedy będziesz miał sześć lat.

W szkole wyjaśnione zostanie wszystko. Teraz i tak dziecko sporo już się dowiedziało, ale nie sposób porównać tego do wiadomości szkolnych. Samo też zdobyło niemało pożytecznych informacji, jak na przykład, że nie wolno podchodzić zbyt blisko do ognia, bo można się sparzyć, ani zbyt blisko do wody, ponieważ można się utopić; że ciało jest delikatne; że żelazo i kamień twarde, co oznacza, że nie wolno bawić się nożami ani rzucać kamieniami w kolegów; że nie warto uderzać się w rogi stołu, bo drewno jest też twarde. Nauczyło się samodzielnie stać na nogach, ale zanim mu się to udało upadło wiele razy. To dobry sposób na naukę, co to jest dół i góra. Bieg z ręką wyciągniętą po pomarańczę, która leży na kredensie w kuchni, to lekcja odległości. Jednym słowem – jak każde dziecko z planety Ziemia swoje pierwsze lata życia poświęci na rozpoznanie otaczającego go świata, nie domyślając się zupełnie, że tym jego światem jest właśnie Bretania. Jego matka wyprowadzi go na ten świat. Zapamięta, co to jest wewnątrz i zewnątrz, zamknięty na klucz dom, otwarta ulica i przestronne pole, drzewa pełne ptaków, a pewnego poranka, kiedy nastanie ładna pogoda i słońce zaświeci pięknie, zobaczy nawet morze.

Ileż cudów i jakaż to cudowna praca odbywa się w umyśle małego dziecka! Zna ono pory roku wcześniej niż odpowiednie na nie słowa. Zna słońce, księżyc, gwiazdy, ciepło, zimno, a kiedy dowie się, co to znaczy być Bretończykiem, możliwe że zapyta się, czy wszystkie rzeczy, pośrodku których żyje, są także bretońskie. Czy ogień jest bretoński, czy żelazo, drewno, ulica są bretońskie, jak wszystko, co dotychczas widział?

Odpowie mu się, że nie, że niektóre rzeczy tak, a niektóre nie, że na przykład niebo nie jest tutaj takie samo, jak gdzie indziej, chociaż niebo jednak jest wszędzie, natomiast morze nie...

Co to znaczy gdzie indziej? W innych krajach. To wszędzie nie jest ten sam kraj? Nie. Jest wiele innych krajów na świecie. Co to jest świat? Dowiesz się w szkole. Znowu! A kiedy idzie się do szkoły? Kiedy podrośniesz. Tam nauczysz się czytać. Co to znaczy czytać? To znaczy patrzeć w książki. Są książki, które wytłumaczą ci, co to jest Bretania i co działo się w tym kraju od początku. Dawno temu? Oj, bardzo dawno. Więc Bretania jest na świecie? Ależ tak, oczywiście. A ja także? Pewnie, że tak. Jesteś Bretończykiem, jak my wszyscy i w tym samym czasie, a nawet przede wszystkim, jesteś na świecie.

– Dlaczego?

– Bo tak. Musisz poczekać, aż podrośniesz.

Musiałem więc tylko poczekać i podrosnąć trochę do odpowiedniego wieku, żeby pójść do tej cudownej szkoły, gdzie wszystko zostanie jasno i raz na zawsze wyjaśnione. Do tego czasu miałem baśnie, piękne legendy mojej babci lub dziadka, chrzestnej lub starych sąsiadów, którzy niekiedy przychodzili wieczorem do nas do domu, gdzie mógł być wujek lub kuzyn, którzy pływali więcej niż trzydzieści lat w marynarce handlowej albo służyli na morzu.

Z baśniami i legendami mieszały się opowieści z podróży i przygody z dalekich stron, na przykład w Chinach, na Madagaskarze czy afrykańskim wybrzeżu.

– Gdzie leżą Chiny? Co to jest Afryka?

– Cicho bądź. Słuchaj!

Do tych opowieści dołączane były słowa po bretońsku, które dziwnie brzmiały dla moich uszu. Zdarzało się to wówczas, gdy jeden lub drugi z gawędziarzy naśladował kogoś z Finistère lub okolic Tréguier. Wtedy dowiedziałem się, że mimo iż jestem w pełni Bretończykiem, to różnię się

od innych Bretończyków, o których czasami słyszałem, jak mówiono o nich ironicznie z powodu specyficznego akcentu, kiedy posługiwali się francuskim: *hacheurs de paille*¹⁰.

*

W pierwszych latach XX stulecia szkoła była nadzwyczaj poważną instytucją, a nauczyciele szlachetnymi ludźmi wymagającymi czci dla jej świeckiego ideału, który w pełni wyrażała Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela.

Wszyscy oni byli dobrymi republikanami wierzącymi niezachwianie w postęp, rozum, byli przekonani, że obdarzeni są misją przygotowania dla nauczanych przez nich dzieci szczęśliwej i sprawiedliwej przyszłości, w której nie będzie wojen. Była to promienna obietnica przyszłego Państwa. Takiemu właśnie nauczaniu miałem być poddany od szóstego do dwunastego roku życia. Nauczanie jasne, konkretne, dokładne, bardzo porządne. Nauczano mnie zasad gramatyki i arytmetyki. Dwa i dwa zawsze dawało cztery. Uczyłem się poza tym na pamięć nazw departamentów, tak jak musiałem zapamiętać nazwy głównych ośrodków, w których mieściły się prefektury i podprefektury wszystkich departamentów we Francji, a było ich, jeśli nadal dobrze pamiętam, osiemdziesiąt sześć.

Dowiedziałem się więc, jak moi pozostali koledzy, że na osiemdziesiąt sześć departamentów, na które podzielona została Francja, pięć zwanych było bretońskimi, a jednym z nich był Côtes du Nord, składający się z prefektury w Saint-Brieuc oraz podprefektur w Dinan, Guingamp itd. Kolejne departamenty to Ille-et-Vilaine z najważniejszym miastem Rennes wraz z podprefekturami itd., oraz departamenty Morbihan, Finistère, Loire-Inférieure¹¹.

Na naszych lekcjach geografii nigdy nie pojawiał się temat Bretanii pojmowanej jako pewna całość, ale wyłącznie jako zbiór określonych części, które prawdopodobnie nic ze sobą wspólnego nie miały. Sama nazwa Bretania nie pojawiała się nigdy, nie licząc przypadków, kiedy trzeba było odróżnić Haute (Górną) i Basse (Dolną) Bretagne, to znaczy tę, w której mówi się wyłącznie po francusku od tej, w której mówi się jeszcze starym językiem¹².

Dzięki rozmowom przyjaciół, którzy od czasu do czasu odwiedzali wieczorami nasz dom, było mi wiadome, iż w rzeczywistości były jeszcze dwie inne Bretanie różniące się od Haute i Basse, a mianowicie Armor, to znaczy Bretania nadmorska, wybrzeże morskie oraz Argoat, czyli Bretania leżąca w głębi łądu; pierwsza była raczej republikańska, druga pozostała bardziej „szuańska” (rojalistyczna)¹³.

¹⁰ „Hacheurs de paille” – „hacher” znaczy ciąć, ścinać; „paille”- słoma; „hache-paille”, to sieczkarnia; odgłosy pracy poruszanej ręczną korbą sieczkarni są charakterystyczne: twarde, ostre... Tak czy owak wyrażenie to jest pejoratywne i znaczy tyle, co kmiotki, buraki kaleczące język.

¹¹ Departamenty, które miały zlikwidować historyczne prowincje, powstały w okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Côtes du Nord zastąpiony został nazwą d’Armor w 1990 roku (Nord, czyli północ wymieniono na bretońską nazwę Armor- przymorze, wybrzeże morskie z powodów czysto turystycznych jako zachęta do odwiedzania departamentu), a Loire-Inférieure ze stolicą w Nantes stał się Loire-Atlantique (oderwany w 1941 r. od Bretanii departament ten dołączono w 1960 do sąsiedniej prowincji „Pays de la Loire”; ostatnio czynione są próby powrotu departamentu do Bretanii właściwej).

¹² Haute Bretagne (Górna Bretania, Breizh Uhel, kraina francuskiego dialektu *le gallo*, która leży na wschodzie prowincji); Basse Bretagne (Dolna Bretania, Breizh Izel, czyli zachodnia prowincja, w której mówi się dialektami bretońskimi).

¹³ Ar mor/Armor -przymorze, kraina nadmorska, wybrzeże; Ar gout/Argoat- czyli właściwie *las*, środkowa Bretania, kiedyś rzeczywiście porośnięta lasami, teraz rolnicza. Powstanie szuanów (*chouan/chouannerie*), szuaneria – chłopci bretońscy powstałi przeciwko rewolucji francuskiej w porozumieniu z lokalną szlachtą i duchowieństwem w obronie króla i religii katolickiej; szuaneria bretońska wybuchła w 1791 roku, a więc wcześniej niż bardziej znane i krwawe powstanie antyrewolucyjne w niedalekiej Wandei; walki partyzanckie trwały do 1800 roku. Zaczęty w ten sposób podział na rojalistów i rewolucjonistów (prawicę i lewicę) okazał się na pewnych obszarach bardzo trwały. Jako ciekawostkę można dodać, że przewodniczący Frontu Narodowego Le Pen, jak i były dyktator Chile Pinochet są pochodzenia bretońskiego.

W każdym razie w krótkim czasie dowiedziałem się, że Rennes było stolicą Bretanii. Co to jest stolica? Czyż nie jest nią najważniejsze miasto w kraju? Czyż miasto Paryż nie jest stolicą Francji? Niektórzy z przekonaniem twierdzili, że stolicą Bretanii nie jest Rennes a Nantes. Nikt im nie wierzył. Czyż to nie w Rennes obradował stale parlament Bretanii aż do czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej?

Nasz nauczyciel, jeśli był uczciwym i wiernym, a na pewno takim był, służył jednej i niepodzielnej Republice, uprawiał swoją politykę na sposób dyktatorski i nie wiedział że, jak powiadał Saint-Just, wolność, która stosuje przemoc, podlega procesom demoralizacji.

*

Nauczanie nie przebiegało na tę samą modłę w zachodniej (Haute) i wschodniej (Basse) Bretanii. W części bretońskojęzycznej setki i tysiące dzieci w wieku od pięciu do sześciu lat rozpoczynały naukę bez znajomości ani jednego słowa francuskiego, a kiedy przekroczyły próg szkoły, to zabraniano im rozmawiać po bretońsku pod groźbą upokarzającej kary. Skoro miały stać się obywatelami francuskimi, czyż nie powinny nauczyć się tego języka? Kto by chciał dopuścić do tego, żeby jako posłuszni poborowi, którzy w odpowiednim czasie znajdują się w koszarach, nie rozumieli i nie reagowali na komendy? Trzeba byłoby wówczas przymocować im do butów z jednej strony wiecheć słomy, a do drugiej siano, aby w ten sposób uczyć ich kroku marszowego. Lewa? Prawa? Słoma? Siano?

Uważano, iż najlepszym sposobem nauczania języka francuskiego była metoda bezpośrednia, stosowana w gimnazjach i liceach francuskich w trakcie nauki języków obcych. Nigdy nie potrafiłem uwierzyć, że metoda ta musi łączyć się z przymusem porzucania przez dzieci języka macierzystego. Myślę, że istnieje coś takiego jak sfera „sacrum”, z którą żaden argument nie zwycięży, a język przekazany przez matkę jest świętością.

Jaki był sens lub realny powód, aby nas, tym razem dzieci z krainy „gallo”, emocjonować lekturą sławnego opowiadania Alphonse’a Daudeta *La Dernière classe*, w którym chodzi o ostatnią lekcję w szkole francuskiej w momencie przejęcia Alzacji przez niemiecką Rzeszę po klęsce Francji w 1870 roku?

W tym miejscu przypominam sobie, że w czasie mej młodości widziałem na rozprawach sądowych w Saint-Brieuc bretońskiego tłumacza, którego praca była nieodzowna w przypadku sądenia włóczęgów.

Zapewniono mnie, iż wiele się zmieniło od tamtego czasu, że nie stosuje się już upokarzających kar wobec dzieci, które ośmielałyby się mówić we własnym języku w szkole Republice, że nauczyciele, większość z nich zresztą to Bretończycy, mają podobno prawo uczyć języka bretońskiego na zajęciach fakultatywnych. To zarazem mało i dużo. W każdym razie najwyższy czas, ponieważ ostatnie statystyki pokazują, że od początku XX wieku liczba mówiących językiem bretońskim stale spada i jeżeli pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu mówiło nim milion osób, to dzisiaj zaledwie osiemset tysięcy¹⁴.

Już Michelet wyrażał swój żal z powodu zaniku tej starej mowy. „Dzisiaj, pisał około 1835 roku, opór słabnie. Stara ta mowa, podminowana przez nieustanną obecność języka francuskiego, stopniowo się cofa. Geniusz improwizacji poetyckiej, który tak długo utrzymywał się u Celtów z Irlandii i Szkocji, a u naszych Bretończyków całkowicie nie wygasł, staje się jednak coraz rzadszy”¹⁵.

¹⁴ Pisane na początku lat 70. minionego stulecia. W 1983 roku zarejestrowano 600.000 osób władających językiem bretońskim, w 1999 – 330 000, a w 2006 – 220.000 na ogólną sumę 3. 100.00 mieszkańców całej Bretanii.

¹⁵ Jules Michelet (1798-1874), sławny francuski historyk, myśliciel, pisarz, profesor Collège de France, Institut de France; autor m.in. *Histoire de France* (pełne wydanie w 1869 r.), *Histoire de la Révolution* (1853). Uważał naród za żywy organizm; Francja według niego posiada właściwą jej duszę i osobę/charakter.

Jeśli zanikanie języka bretońskiego utrzyma się, to wkrótce stanie się on zasuszonym skarbem należącym do grupki zapamiętałych erudyta i poetów, czyli martwym językiem, którego istnienie znaleźć będzie można w bibliotekach oraz rywalizujących ze sobą wspólnotach.

Podobnie jest z gwarami.

Gwara używana na wsi w krainie „gallo” od lat zanika w tym samym tempie, co zwyczajnie i czepece właściwe poszczególnym regionom. W tym samym czasie wyrывa się z korzeniami jabłonie, wyrównuje pagórki, zakłada wielkie obszary fermy, po których poruszają z łatwością maszyny rolnicze, tu i ówdzie powstają zakłady przemysłowe. Wszystko się zmienia nie do poznania, miasta puchną. Moje miasteczko Saint-Brieuc nie uniknęło tej epokowej transformacji. Stwierdzam to codziennie, spacerując po ulicach, nie rozpoznając miasta mojej młodości, kiedy miałem piętnaście lub szesnaście lat.

*

Tworzy cię twój własny kraj. Uczysz się go rozpoznawać, otwierając przed nim duszę, odkrywając, że pasujecie do siebie, jak nowy płaszcz zrobiony na miarę. Tak było ze mną podczas moich pierwszych lat, kiedy jako chłopiec przebiegałem ulice mojego miasta, które szybko stały mi się bliskie jak i wszystkie jego zakamarki. Miasto to liczyło zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy dusz, było to mimo wszystko dość duże miasto, które atoli przypominało swoim wyglądem raczej spore miasteczko, cichutką miejscowość, w której ludzie spotykając się, zatrzymywali na chodnikach, aby sobie pogadać. Miasto drobnych kupców i rzemieślników, gdzie każdy żył po swojemu, gdzie życie odmierzane było uderzeniami dzwonów ze starej katedry Saint-Etienne, którym odpowiadały echem niezliczone kościoły rozsiane w czterech głównych punktach miasta.

Na ulicach słychać było stukot kopyt koni. Teraz ich nie słychać. Już nie ma koni ciągnących bryczki, a niekiedy eleganckie powozy zmierzające wraz ze szczęśliwymi ludźmi nad morze. Wzdłuż ulic znajdowały się witryny starych sklepów, które – choć nieodnawiane od stu lat, nieco wyblakłe i prowincjonalne – zachowały przecież swój urok. Zdarzało się, że drzwi jakiegoś sklepiku były wypaczone, ale to dlatego, że dobrze służyły, a nad nimi zawsze był dzwonek albo gong, który wydawał dźwięki, kiedy otwierano drzwi. Wszystko to zniknęło. Obecnie wszystko jest bezduszne, niklowane, gładkie i olśniewa swoją nowością; na jednym i drugim krańcu ulicy panuje taka sama wielka, zimna i smutna rzeczywistość.

Prawdę powiedziawszy, jeśli chodzi o sklepiki, to nie interesowały mnie inne poza tymi znajdującymi się wokół katedry pomiędzy wielkimi filarami – kramiki, malutkie dziuple omiatane przez wiatr, wsparte o kamienną katedrę, tuż obok ołtarzy, w których odprawiano niektóre wieczorne nabożeństwa.

Bardzo dobrze pamiętam, że mieściła się w nich gwoździarnia oraz pasmanteria. Kiedy dzisiaj spaceruję po mieście, to nie poznaję już nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić z nadzieją, że jego pamięć jest lepsza niż moja i upewnić się, czy w tym miejscu rzeczywiście prowadziła swój handel sprzedawczyni naleśników zwanych galetami, która ponadto w dni targowe sprzedawała kielbaski.

Ludzie powiadali, że wszystko odbywało się tutaj tak jak w średniowieczu. Ta przywoływana w jakiś nieokreślony przecież sposób legendarna przeszłość wywoływała we mnie poetycki nastrój. Częścią tej legendy stawały się szachulcowo-ryglowe domy mieszkalne stojące wokół katedry i nade wszystko znajdujący na pobliskiej uliczce Fardel dom księżnej Anny Bretońskiej¹⁶.

Od nitki do kłębka dotarłem i ja do wiedzy o tym, że moje małe miasto Saint-Brieuc zostało założone w piątym wieku, czyli że wkrótce minie od tego czasu tysiąc pięćset lat. Można

¹⁶ Anne de Bretagne (1477-1514) – Anna Bretońska to ostatnia władczyni księstwa Bretanii, które od wieków było stale buntującym się lennem Francji (epoka wolnego królestwa Bretanii trwała krótko w IX w.); Anna Bretońska poślubiła króla Francji Karola VIII, a następnie Ludwika XII (1499), przekazując księstwo bretońskie królowi francuskiemu. Ślub jej córki Claude de France z przyszłym królem Francji, François I, spowodował formalną inkorporację Bretanii przez Francję w 1515 roku; w 1532 zatwierdził ją ostatecznie Parlament Bretoński. Do czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej Bretania cieszyła się sporą dozą autonomii (działał parlament w Rennes).

powiedzieć, że wydarzenie to gubiło się w pomroce dziejów, nabierając w mojej wyobraźni cech legendy z racji tego, że jeżeli historycy definitywnie ustalili, iż nasze miasto założył mnich Briec, przybyły z Irlandii lub Walii w towarzystwie sześćdziesięciu swoich towarzyszy, to dodawano również, że odbyli oni podróż morską w kamiennym korycie¹⁷.

Ileż to razy wyobrażałem sobie tę pamiętną scenę! Ileż to razy powracałem w duchu do tej przeprawy mnichów łodzią przez zatokę – na pamiątkę tamtych wydarzeń nosi ona imię Briec – aż do ujścia rzeki Gouët otoczoną ciemnym lasem, gdzie w pobliżu źródła wylądowali mnisi i gdzie Briec zdecydował się ufundować pierwszą kaplicę.

Oczywiście, tak często wyobrażałem sobie tę scenę, że w końcu czasami wydawało mi się, że widziałem ją na własne oczy. Ileż to razy poczuwałem się za świadka tamtej sceny, wyobrażając sobie Briuca w postaci innego nieustraszonego mnicha, ojca Alexisa, też autentycznego Bretończyka rodem z Plessala, odnowiciela opactwa w Boquen, którego ujrzałem pewnego dnia w 1938 roku. Minęło zaledwie dwa czy trzy miesiące od momentu, kiedy przybył do ruin opactwa, gdzie nie było nic więcej poza kamieniami i jeżynami, a przecież odbudował je tak, jak obiecał.

Zaledwie mnisi z Briec na czele wylądowali na naszym wybrzeżu, a już zderzyli się z niechęcią pewnego barona, który miał w tym miejscu drewniany zamek. Dowiedziawszy się o przybyciu na jego terytorium grupki obcych, zmobilizował swoich rycerzy i kazał im wyciąć mieczem wszystkich mnichów co do jednego.

Wszakże dobry Briec, uprzedzony znakiem z niebios o grożącym im wszystkim niebezpieczeństwie, uciekł się do modlitwy, a złego barona chwycił tak okrutny ból, że aż śmierć zajrzała mu w oczy. Przerażony w wielkim pośpiechu posłał posłańca z rozkazem, aby zawrócił do zamku wysłanych z okrutną misją rycerzy.

Rycerze wracają. Uleczony baron wkrótce uda się do Briec, który udzieli mu chrztu.

Oto jak wszystko się zaczyna, jak zapala się pierwszy ogień, pierwsza lampa, oto jak po raz pierwszy dzwon wydaje dźwięk, dzwon, który nigdy więcej nie przestanie bić.

Nic nie było bardziej drogocennego dla mnichów, którzy nastąpili po Briec i jego sześćdziesięciu towarzyszach, jak relikwie Świętego Założyciela. Aby nie dopuścić do sprofanowania ich przez barbarzyńców, którzy napadali na nasze wybrzeże w VI stuleciu, święte pamiątki przeniesiono do Angers, gdzie tamtejsi zakonnicy mogli lepiej je chronić przed wojowniczymi ludami Północy.

Zakonnicy z Angers z prawdziwym szacunkiem przyjęli relikwie, które w ich oczach na to zasługiwały i obiecali pilnie strzec.

Rzeczywiście tak mocno strzegli, że kiedy czasy się uspokoiły i na nasze tereny powrócił pokój, odmówili wydania relikwii. Dowiedziawszy się o tym dobrzy mnisi z Saint-Briec poczuli się urażeni i zaprotestowali ponownie, żądając wydania należącej przecież do nich świętej relikwii.

Angers dalej odmawia, a Bretończycy ponownie decydują się złożyć pozew. Proces i kolejny proces.

Nie chce się wierzyć, ale spór trwał do XIII wieku. Do tego czasu wybudowano wreszcie katedrę Saint-Etienne, głównie dzięki staraniom ówczesnego biskupa Guillaume'a, który obiecał, że dokończy jej budowę żywy lub martwy. Obietnicy dotrzymał, chociaż śmierć zaskoczyła go, zanim ostatni kamień został położony, a ostatni gwóźdź wbity. Datki zbierane w jego imieniu jako jałmużna (dzisiaj byśmy powiedzieli *kwesta*) w końcu pozwoliły na ukończenie prac budowlanych.

¹⁷ Celtycy i już chrześcijańscy Brytowie stopniowo opuszczali ojczystą wyspę Brytanię pod naporem germańskich Anglosasów i Jutów od V wieku, osiedlając się na ówczesnym Półwyspie Armorykańskim (potem zwanym Bretońskim, Armoryka stała się Małą Brytanią), gdzie mieszkaly inne plemiona celtyckie (Galowie). Założycielami miast na kontynentalnej Bretanii byli święci biskupi: Samson, Malo, Briog (Briec), Tugdual, Pol Aurelién, Coentín, Patern. Legenda o kamiennych wannach-korytach powstała stąd, że jako balastu używano głazów, które po rozpadzie łodzi pozostawały na brzegu morskim.

Wreszcie i zakonnicy z Angers zgodzili się zakończyć proces. Mimo wszystko nie chcieli oddać całej relikwii. Godzili się jedynie na zwrot małego fragmentu, niewielkiej części czaszki czcigodnego założyciela, tę część która silnie przywarła do szkatułki. Musieli tak to zostawić.

Duchowni z Saint-Brieuc wyrazili zgodę i wysłali pochodzącego ze szlchetnego rodu posłańca, któremu przypadła szczytna misja pocwałowania na rumaku do Angers i z powrotem w celu odebrania świętej relikwii. I tak się stało. W Angers przekazano mu relikwie, kilka niewielkich kostek, które zamknięto w srebrnej szkatułce, a on dostarczył je, pędząc cały czas galopem, do nowej katedry.

Uważa się, że dzięki prawu seniora utytułowany posłaniec ów mógł skorzystać z wielkiego przywileju, jakim był wjazd konno do świątyni. W chwili, kiedy rumak przekraczał portyk katedry, rycerz odczuł, jak w środku srebrnej szkatuły poruszyły się relikwie świętego.

Źródło, obok którego mnisi zatrzymali się, dla nas stało się święte. Przez długie lata w pierwszą niedzielę maja przychodziły tutaj uroczyste procesje, niosące relikwie świętego Briec.

Ta procesja zanikła jak tyle innych, na przykład organizowana w Boże Ciało, kiedy na trasie procesji dekorowano ściany domów tkaninami i kwiatami, a na bruk rzucono płatki róży. Tu i ówdzie po drodze stały ołtarze. Ludzie na chodnikach przyklękali na widok Jego Ekscelencji Biskupa, niosącego pod baldachimem Najświętszy Sakrament. W procesji podążały orkiestry chrześcijańskich stowarzyszeń grające na bębnach i trąbkach, a na końcu szedł tłum wiernych. Dzisiaj niczego podobnego nie ma. Seminarium jest puste, drzwi zamknięte.

Po raz pierwszy w życiu usłyszałem pieśni bretońskie właśnie podczas procesji. W śpiewach tych brzmiała wielka, niezwykle wzruszająca czułość, chociaż czasami zbyt płaczliwa. Nie słyszałem takiej nuty nigdy i nigdzie, tylko poza starymi śpiewnikami bretońskimi zebranymi przez Burgauda Ducoudray'a, bez względu na to, czy były to pieśni religijne czy świeckie. Ich nuta jest unikalna, podobną odnajduje się w pieśniach irlandzkich, pieśniach marynarzy skupionych na wiosłowaniu, które mają cudowną czystość i wyrażają tęsknotę duszy. Cóż za przejmująca melodia zawarta jest w pieśni religijnej *Paradis* („Ar baradoz”, „Raj”) albo w modlitwie *Serviteur indigne* („Niegodny sługa”), która jest doskonałym wyrazem najgłębszej miłości! Jaka delikatną kołysanką jest *Tou-Touik*, którą wiekowi dziadkowie, pochyleni nad kołyską, szepczą do uszu swych wnuków zasypiających w szczęściu.

Jak daleko jesteśmy od osławionej damy Paimpolaise Théodore'a Botrela¹⁸! Jak daleko jesteśmy od specyficznego folkloru, którego głównym i tajemniczym znakiem jest to, że jest on doskonale obcy temu wszystkiemu, co jest specyficznym bretońskim. To folklor bez duszy i korzeni.

*

Po raz pierwszy opuściłem moje rodzinne miasto w wieku czternastu lub piętnastu lat. Nie wyjechałem za daleko, ale mimo wszystko widziałem Saint-Malo z jego murami, Dinan i zamek księżny Anny, cudowny klasztor Mont Saint-Michel. Na całe życie zapamiętałem to moje zachwycenie widokami w letnim słońcu w południe albo o zmierzchu w świetle księżyca.

Saint-Malo, stare Saint-Malo, którego nikt więcej nie zobaczy; Saint-Malo z wąskimi ulicami, wręcz uliczkami, jak ta Chateaubrianda oraz Surcoufa¹⁹. Mocno wtedy wiało i były wielkie pływy morskie. Gigantyczne fale rzucały się na Sillon dziko i zapamiętałe – to było jak święto i chrzciny

¹⁸ Théodore Botrel (1868-1925) – sławny pieśniarz, w okresie I wojny światowej jeden z głównych symboli Bretanii; jedną z bardziej znanych jego pieśni była *La Paimpolaise* (Paimpol to nazwa portu rybackiego, skąd wypływały statki na dalekomorskie połowy; Paimpolaise- mieszkanka tego słynnego na przełomie XIX i XX w. bretońskiego miasteczka).

¹⁹ Saint-Malo (departament Ille-et-Vilaine) – jeden z największych w historii Francji portów leży nad kanałem La Manche; stąd wypłynął odkrywca Kanady Jacques Cartier (1534); miasto zbombardowane przez Aliantów podczas II wojny światowej i następnie zrekonstruowane; miejsce urodzin i pochówku pisarza i dyplomaty François-René de Chateaubrianda (1768-1848). Robert Surcouf (1773-1827) – w młodości ostatni francuski korsarz, następnie bogaty armator.

w rozbryzgach cudownej nawałnicy. Po drugiej stronie wybrzeża odwiedziłem Tréguier z klasztorem i wirydarzem (ileż to razy wracałem tu potem!), dom Ernesta Renana, Minihiy, gdzie urodził się święty Yves²⁰.

Odkrycie rodzinnego krajobrazu rozpocząłem dosyć wcześnie od pobytów na plaży Saint-Laurent oraz Rosaires, od wizyt w porcie Légué, leżącym w granicach Saint-Brieuc, do którego przybywało wiele statków z Anglii, Danii, Holandii, a nawet Szwecji. Jedne transportowały węgiel, drugie drewno, a nasze własne wywoziły w kierunku Walii wczesnowiosenne warzywa. Inne zaś wypływały z Paimpol i Binic. Nie wiem kiedy i jak dowiedziałem się, że wcale nie tak jeszcze dawno w Binic rybackie statki wyposażane były do polowań na wieloryby.

To w tamtych czasach, pod koniec epoki nazwanej „Belle Epoque”, w okolicy funkcjonowała lokalna kolej należąca do Compagnie Départementale des Côtes du Nord, która „obsługiwała” wybrzeże – malutka „ciuchcia” sławna z powodu swojej powolności i niezliczonych przystanków, co w moich oczach przydawało jej uroku. Zaledwie ciuchcia opuściła Saint-Brieuc, to znaczy dworzec główny, gdzie dzisiaj mieszczą się biura Jersey Air Line, już zatrzymała się na moście Souzain u wylotu z miasta w celu zmiany zwrotnicy, a następnie w Plérin, Pordic, Binic. Aby przejechać całą trasę z Saint-Brieuc do Paimpol, potrzeba było całego przedpołudnia.

Jaka niezwykła okazja, aby marzyć sobie bez końca, oddając się kontemplacji mijanych dolin, które przekraczamy po małych i lekkich mostach, prawdziwych dziełach sztuki, albo sięgając wzrokiem aż po morze w Binic, Saint-Quay, Etables oraz w innych miejscowościach coraz bliżej Paimpol.

Podczas letnich wakacji rodzice Charlesa Michela, który był moim przyjacielem z liceum, zaprosili mnie na tydzień do siebie. Jego ojciec był naczelnikiem poczty w Paimpol. Charles już wtedy był bystrym, śmiałym, wysokim, przystojnym blondynem o niebieskich oczach, bardzo rozpieszczanym przez rodziców i zawsze z wypełnionym portfelem przy sobie. Czekał na mnie na dworcu. Natychmiast po wizycie u rodziców poszliśmy powąłęsać się po porcie. Po zwiedzeniu starego szkunera, który długo pływał na połowy do Nowej Ziemi i Islandii, Charles raptem zdecydował się wynająć wóz i udać się do Arcouest, skąd mieliśmy popłynąć na pobliską wyspę Bréhat²¹. Wóz wówczas wcale nie oznaczał *automobil*, to nie były jeszcze te czasy. Chodziło o zwykły powóz z zaprzęgiem, coś w rodzaju bryczki, w której rozgościliśmy się jak bogaci turyści, paląc papierosy z pozłacanymi ustnikami.

Odległość między Paimpol a Arcouest nie jest duża, ale prawdę powiedziawszy nasz woźnica nie za bardzo popędział konia. On także, jak i wielu innych, żył swoim rytmem, dzięki czemu i nam pozostało dużo wolnego czasu na podziwianie uroków okolicy, które pojawiały się przed naszymi oczami za każdym zakrętem drogi.

Charles z dumną miną bogatego właściciela, który objeżdża swoje dobra z zaproszonym gościem, pokazywał mi i nazywał mijane miejsca, opowiadając to, co o nich wiedział, nieustannie przy tym powtarzając, że to nic w porównaniu z tym, co nas czeka na końcu naszej wycieczki. Jego zdaniem nic w Bretanii, a nawet na całym świecie, nie mogło się równać z tym oczekującym nas najpiękniejszym i największym widowiskiem – nasz stateczek miał właśnie wyruszyć w kierunku wyspy Bréhat. Nic z tego co do tej pory widziały moje oczy, mimo że byłem ostrzeżony i

²⁰ Saint Yves (Yves Heloury de Kermartin, bret. Erwan, 1253-1303) – patron adwokatów, prawników i samej Bretanii; relikwie obrońcy prawdy i ludzi ubogich spoczywają w katedrze w Tréguier, pielgrzymki do św. Yvesa (Iwa) nadal są popularne.

²¹ Terre-Neuve to Nowa Ziemia, czyli *Newfoundland*, wyspa Nowa Funlandia, która leży przy atlantyckim wybrzeżu Kanady i jest oddzielona wąską cieśniną od Labradoru; odkryta na początku XI stulecia przez Wikingów, kolonizowana przez Anglików i Francuzów; na wodach wokół Nowej Ziemi odławiano wielkie ilości dorsza począwszy od XVI w.; w połowach brały udział liczne statki francuskie z Bretanii (wypływały z Paimpol i Saint-Malo) oraz Normandii; w 1713 roku traktat w Utrechcie przyznał Nową Funlandię Anglii. We władaniu Francji pozostał jedynie Saint-Pierre-et-Miquelon leżący na południu wyspy. Połowy na wodach Terre-Neuve należą do morskiej i kulturowej tradycji Bretończyków.

oczekiwałem objawienia jakiegoś cudu, nie przygotowało mnie na szok, jakiego miałem zaraz doznać. Rzeczywiście, to był prawdziwy cud. Milczący i przepelniony szczęściem Charles pokazywał mi wyciągniętą ręką jak obraz wyspę Bréhat – różową wyspę, wyspę kwiatów, jedną chyba z najbardziej szczęśliwych wysp leżących wzdłuż bretońskiego wybrzeża, która sama otoczona była małymi wysepkami, jak Modez, Béniguet, Verte... I to wszystko w pełnym słońcu! Coś nieporównywalnie wspaniałego dzięki wielkości, barwie i nieskończoności morza. Do tego wąski kształt wyspy dłuższej niż trzy kilometry, przedłużające ją skały, różne barwy z dominantą żółci i różu, błyszczące morze w kolorze czystego błękitu pod prawie białym, olśniewającym niebem – na naszych oczach nieskazitelne światło padało na otwarte morze z wyspą Bréhat umieszczoną pośrodku jak wielkie i delikatne morskie monstrum, które zasnęło tuż pod powierzchnią wód. Bréhat, to była ona, różowa, żółta, otoczona lśniącymi wysepkami i skałami, wyciągnięta w doskonałym spokoju na morzu. Leciutka bryza pieściła nas swoim tchnieniem. Pojawiło się odczucie szczęścia. Do naszych uszu dochodził chłupot fali o molo i hałas ze stateczku gotowego wreszcie do odpłynięcia.

Jeszcze nic podobnie niezwykłego nie widziałem w moim życiu. Jeśli od tamtego czasu mogłem podziwiać Neapol, zatokę kronsztadzką i inne miejsca naszego globu, które również nazwać można cudami, to nie waham się powiedzieć, że te wszystkie cudowne niezwykłości nigdy nie zepchnęły w niepamięć ani nie odsunęły widoku, jakiego tego dnia doświadczyłem na cypelku Arcouest, skąd ujrzałem wyspę Bréhat – od tej pory jedno z moich najbardziej ukochanych miejsc w całej Bretanii.

Ileż to razy powracałem na nią, ileż to razy przywoziłem tutaj swoich przyjaciół! I zawsze z dumą, jaką wobec mnie wykazał Charles Michel! Ten wzniosły krajobraz morski służył mi często za dekorację do wyobrażania sobie scenerii Dalekiego Wschodu, gdzie toczyły się losy wielu bohaterów książek Josepha Conrada²².

Czyż ja sam nie spotkałem tutaj postaci jak z powieści Conrada?

Zdarzyło się to już nie wiem którego roku, kiedy przyjaciele, których przywoziłem na wybrzeże, zażyczyli sobie, abyśmy opłynęli wyspę. Stateczek, na który weszliśmy, kierowany był przez samego właściciela, człowieka około czterdziestki, jeszcze mocarnego marynarza, którego postawa od razu wydała mi się zupełnie odmienna od tej, jaką zazwyczaj przybierają ludzie, którzy uprawiają spokojne rzemiosło turystyczne. Był to mężczyzna skrajnie milczący, ale pozbawiony zupełnie złego humoru, który długo się zastanawiał przed odpowiedzią na nasze pytania, a same odpowiedzi były zazwyczaj bardzo skąpe. Musiał to być ktoś głęboko samotny, odseparowany świadomie od innych ludzi. Znałem dobrze ten typ Bretończyka, który charakteryzuje się jakąś dzikością, ale w tym przypadku nie o to szło. Był ponadto zbyt młody, aby uznać go za emeryta. Nie był jeszcze w tym wieku, kiedy zarzuca się na ramię marynarski worek i zostaje na lądzie, aby na nadbrzeżu spędzać czas z innymi starymi wilkami morskimi, którzy już nigdy się nie zaokrętuja i nie wypłyną w morze. W Bretanii nazywa się ich *écraseurs de crabes* („zgniataczami krabów”). Jeszcze tego samego dnia dowiedziałem się, że właściciel tego stateczku był kiedyś kapitanem dalekomorskim, kimś w rodzaju Lorda Jima, któremu przydarzyło się nieszczęście i stracił swój statek. Po odebraniu mu licencji kapitana musiał obwozić swoim stateczkiem turystów wokół różanej wyspy Bréhat.

Resztę dnia spędziliśmy z Charlesem Michele na zaaferowanym zwiedzaniu wyspy. Byliśmy jak odkrywcy, czas nam, jak to się mówi, przeciekl przez palce, a wieczór zaskoczył jeszcze na wyspie, tak że zmuszeni byliśmy skonstatować, że najbliższy statek mamy dopiero nazajutrz rano.

Nasza wyprawa z lekka zaczęła przypominać przygodę. Właścicielka knajpki, do której weszliśmy, aby poinformować o kłopotach, zapytała nas najpierw (biorąc pod uwagę późną porę), czy jesteśmy głodni. Na nasze tak odpowiedziała, że nakarmi nas, a w międzyczasie poszuka kogoś, kto by nas odprawił do Arcouest. A tam znajdziemy jakiś pojazd, którym dostaniemy się do Paimpol. Zważywszy na pełnię sezonu, nie będzie to do diaska trudne!

²² Joseph Conrad Korzeniowski (1857-1924) przebywał w Bretanii w 1896 roku (Lannion, Ile-Grande, Trégor). Z polskich pisarzy w tych okolicach często mieszkał Henryk Sienkiewicz.

Sprawy potoczyły się tak, jak przepowiedziała miła oberżystka. Zjedliśmy z wielkim apetytem posiłek, przyszedł młody, dwudziestoletni marynarz, aby nas wziąć na pokład swojej łódki. Na wstępie ostrzegł nas, że „przeprawa” łodzią będzie na pewno dłuższa od tej porannej na pokładzie statku, co tylko może okazać się dla nas bardziej przyjemne. Im dłużej przebywać będziemy na morzu, tym bardziej będziemy szczęśliwi i pocujemy się jak prawdziwi łowcy przygód. Wszystko potoczy się naprawdę dobrze! Zgoda!? Zgoda! I oto my już w łodzi, a młody marynarz bierze się za wiosła.

W międzyczasie zapadła noc, ale jaka noc! Cudowna, letnia noc – ciepła, pachnąca tysiącem roślinnych woni, które po spokojnym morzu roznosiła delikatna bryza. A do tego jeszcze księżyc świecący nieziemskim światłem, w którego jasności wszystko stawało się widoczne aż po najmniejszą wysepkę. Pomimo braku barw wszystko stawało się jeszcze bardziej cudowne, a ponadto bardziej prawdziwe! Milczeliśmy we trójkę jak zaczarowani. Słyszeliśmy jedynie szmer morza i chłupot wiosł.

Tak jak przepowiedziała oberżystka, w Arcouest szybko znaleźliśmy pojazd. Pewien dorożkarz przywiózł turystów na nocleg do hotelu Madame Barbu i zbierał się do pustego przejazdu do Paimpol. Nasze pojawienie się wyglądało w jego oczach na specjalną gratkę, a on w naszych – na wybawiciela. Wsiadliśmy do wozu i powoli ruszyliśmy z powrotem pod tym samym księżycem, który swoje błogosławieństwo rozciągał nam aż do końca naszej eskapady.

W ten sposób Bréhat pozostała w mojej pamięci jako jedno z najbardziej żywych wspomnień z okresu młodości oraz jako pierwsze z najważniejszych miejsc w Bretanii. Wkrótce nadeszły kolejne, jak na przykład odkrycie Menez-Bré kilka kilometrów od Guingamp, jednego ze szczytów naszych starych i zwietrzałych gór – samotny i łysy pagór z malutką kaplicą św. Hervé, skąd rozciąga się bezkresny widok aż po morze. Niezwykle rzadko spotkać tu można owce, a raz w roku w dzień targowy konie²³.

Już dobrze już nie pamiętam, w jakim miejscu toczy się legenda, o której często myślałem, że jej akcja mogłaby odbywać się właśnie na Menez-Bré. Opowiedziano mi albo gdzieś to wyczytałem, że w dawnych bardzo czasach niektórzy nasi książęta, kiedy nie mogli się dogadać w sprawach tego świata, a wiadomo jak bardzo mogą być one skomplikowane, chwyтали chorągwie i proporce, ustawiali się w szyku i wyruszali rażno razem w kierunku tej jałowej ziemi – dlaczego nie miałby być to Menez-Bré? Przybywszy na miejsce, składali swoje chorągwie i proporce, mówiąc: „Święta Panienko, ten świat jest zbyt trudny dla nas. Tobie składamy naszą władzę. Ty za nas władaj”.

I odchodzili w nieznane strony, pozostawiając chorągwie, proporce oraz wystraszone owieczki.

*

Kim jesteśmy? Skąd przychodzimy? Dokąd idziemy? Oto wielkie pytania, których ludzkość nie przestaje sobie stawiać i jakie będzie sobie jeszcze zadawać przez długi czas. Filozofowie i teolodzy próbują na nie po swojemu odpowiedzieć, a z drugiej strony i historycy próbują dać swoją odpowiedź. Skąd przybyli Bretończycy, którzy dzisiaj zasiedlają półwysep? Kim oni są? Aby spróbować się dowiedzieć, trzeba zainteresować się poważnymi dziełami o wędrówkach ludów, o zaludnianiu Europy, inwazjach, wojnach, katastrofach, w których mieszały się ludy, rasy, niekiedy też pokojowo i bratersko, zanim wyginęły, jak to dzieje się obecnie we Francji w wyniku centralizacji oraz przyrostu funkcjonariuszy i biurokratów, w związku z czym nikt nie jest u siebie. W Bretanii, w krainie na końcu ziemi (stąd Finistère), znajdują się ludzie z całego globu: niektórzy zdają się pochodzić nawet z Azji – rzeczywiście mają oczy nieco skośne, a kości policzkowe

²³ W Bretanii znajdują się dwa pasma starogórskie dawnego Masywu Armorykańskiego, który uległ erozji: Montagnes Noires oraz Monts d'Arrée; nie są to prawdziwe góry, ale porośnięte wrzosami wzniesienia, które zbudowane są z granitu i gejsu. Najwyższy „szczyt” ma 384 m n.p.m, a Menez-Brez 302 m. Trzeba jednak dodać, że surowy wygląd i romantyczny nastrój tych „gór” ma w sobie coś specyficznie wzniosłego. W kaplicy Saint-Hervé odbywają się nabożeństwa zwane *oferenn drantel*, mające na celu egzorcyzmowanie dusz zmarłych.

wystające; inni zaś pochodzą z obszaru basenu Morza Śródziemnego – jakby na pamiątkę po legionach Juliusza Cezara²⁴.

*

Wielkie wydarzenia historyczne w sposób naturalny prowadzą do wielkich ruchów ludności. Przedstawiciele mojej generacji byli świadkami niezwykłych zmian w Saint-Brieuc, kiedy w pierwszych tygodniach wojny 1914 r. zaczęły napływać rzesze obcych ludzi, w tym najpierw uciekinierzy z zajmowanych przez Niemców terenów. Smutna procesja kobiet, dzieci, starców wypędzonych z własnych domów przez klęskę – oto obraz czystego nieszczęścia, który towarzyszyć nam jeszcze będzie w latach 1936-1939, kiedy setki, a nawet tysiące uciekinierów z Hiszpanii, gdzie toczyła się wojna domowa (w tym kobiety, dzieci i starcy), pojawiło się u nas w poszukiwaniu schronienia.

W tym samym 1914 roku, kiedy pierwsi francuscy uciekinierzy docierali do Saint-Brieuc ze swoich okupowanych regionów, inne zupełnie ofiary wojny zamykano w cywilnych obozach. Osoby te uznano za „niepożądane” (*indésirables*), a byli to Niemcy, Austriacy, Węgrzy przebywający lub podróżujący po Francji, którzy zostali zatrzymani i internowani zgodnie z ogłoszonym w dniu mobilizacji prawem wojennym.

Do tego czasu w Saint-Brieuc nie widać było jakichś szczególnych zmian, ale wkrótce i one nadeszły wraz z pojawieniem się francuskich i alianckich oddziałów wojskowych: 61. regimentu artylerii, 154. regimentu piechoty, nie wspominając 71. regimentu, który i tak stacjonował w naszym mieście oraz 74. regimentu obrony terytorialnej oraz innych, głównie angielskich oddziałów.

Nasza główna ulica Saint-Guillaume zaczęła jak rzeka po deszczach wzbierać i unosić swym silnym nurtem przybywające do nas ludzkie masy, w tym i kobiety, które zaczęły pracować w fabrykach, a następnie od 1915 roku włoskie oddziały wojskowe. Wraz z nimi przybyli także żołnierze z odległych, skolonizowanych przez Francję krajów: Algierczycy, Marokańczycy, Senegalczycy.

Ulica wyglądała jak jeden wielki, kosmopolityczny port. W tym potoku ludzi dużo spotykało się rannych – jedni szli o kulach, drudzy z ręką na temblaku, aż wreszcie pewnego dnia dołączyli do tej falującej masy Amerykanie i Kanadyjczycy, którzy zeszli na ląd w Saint-Nazaire, Brest, a następnie, już po upadku cara i wybuchu Rewolucji Październikowej, dołączyli do nich Rosjanie w swoich białych bluzach, w butach o krótkiej cholewce, których sztab aliancki wycofał z frontu w Szampanii, gdzie walczyli, i tak pozostali u nas w odwodzie więcej niż rok. Dla tych ostatnich okres ten nie był „ani pokojem, ani wojną”. Byli wolni, krążyli więc po mieście jak chcieli, a sztab aliancki odmawiał wydania ich Leninowi czy Trockiemu.

Pod koniec dnia w tłumie tym zauważyć można było przechodzącą kolumnę niemieckich jeńców, którzy – głośno stukając butami o bruk – wracali z pracy. Zatrudniano ich przy naprawie starych lub wytyczaniu nowych dróg. Jeśli chodzi o cywilnych więźniów zwanych „niepożądanymi”, to pewna ich liczba, na przykład szewcy, piekarze, robotnicy budowlani, otrzymali pozwolenie na pracę w mieście. Postanowiono tak na wniosek niektórych przedsiębiorców, którym zaczęło brakować rąk do pracy. Musieli jedynie raz dziennie pokazać się w komisariacie policji i podpisać specjalnie przygotowaną listę obecności.

Pod koniec wojny działo zwane „Grubą Bertą” stosunkowo często dawało się we znaki Paryżanom, więc wielu z nich udało się w poszukiwaniu schronienia do nas.

W końcu nadszedł dzień 11 Listopada. I u nas, jak zresztą wszędzie, odbyły się wielkie festyny, a dotychczasowa populacja, rodem jakby z całego świata, zaczęła niby morze powoli się cofać.

²⁴ Juliusz Cezar (101-44 p. n.e) podbił celtycką Galię w tym Armorykę, gdzie nawet przebywał (kronika kampanii *De Bello Gallico*); w niektórych miejscowościach pozostały do czasów współczesnych ślady osadnictwa rzymskiego. Galia podzielona została na trzy prowincje. Wyspiarska Brytania, ówczesna ojczyzna celtyckich Brytów (od V w. p. n.e. mieszkających na wyspach), podbita została przez Rzymian w I w. n.e. W IV w. zaczęła się chrystianizacja Brytanii, a exodus do Armoryki pod wpływem atakujących Anglosasów w drugiej połowie V w.

Nasze ulice pewnego dnia stały się tak ciche i tak puste jak niegdyś – nastał wielki spokój po potopie. W każdym razie tak to wyglądało z zewnątrz, ale wkrótce inna gorączka miała pojawić się w mieście.

Oczywiście nikt nie wierzył, że wojna mogłaby ponownie wybuchnąć. Wygraliśmy tę, i starczy raz na zawsze! Mimo wszystko jakiś mroczny instynkt powodował, że do Bretanii znów nadciągali ludzie, a wielu z nich budowało sobie tutaj domy, w których zamierzali spędzić resztę życia. Czyżby ta kraina leżąca na kresach świata nie była najlepszym schronieniem wówczas, kiedy coś miało się złego stać?

Więc dużo budowano. Ale i sporo wyburzano. Znikały stare dzielnice, czasami najstarsze ze wszystkich, na przykład te wokół katedry i to nie zawsze ustępując miejsca nowym budynkom, a tylko „parkingom”.

Ulicę Fardel starzy mieszkańcy bardzo sobie cenili, ponieważ była czymś w rodzaju świętej drogi założonej na szlaku, którym poruszali się mnisi, podążający od kapliczki stojącej przy źródle do katedry Saint-Etienne. Otaczały ją piękne i zabytkowe domy z XIV i XV w., które pozostawione same sobie szybko popadały w ruinę. W krótkim czasie, nie licząc tych zamieszkiwanych przez antykwariuszy, przekształciły się w rudery, w których znajdowali nędzny dach nad głową najbiedniejsi mieszkańcy. Pewnego dnia przystąpiono do wyburzania tych ruder, oszczędzając wyjątkowo dom księżny Anny Bretońskiej i dwa czy trzy ponadto. Pozostałe szlachetne oraz zabytkowe domostwa przeznaczono na śmierć i zlikwidowano, tak jak likwiduje się chore konie i psy.

W każdym razie rudery te w każdym momencie mogły stać się źródłem zarazy i dżumy, czyż nie tak?

W tym samym czasie zwiększała się miejska populacja, więc budowano dalej. Kto przypuszczał, że wkrótce trzeba będzie przerwać budowanie, a więc i wyburzanie, ponieważ hitlerowski agresor w ciągu zaledwie kilku dni zawładnął częścią, a następnie całością, Francji? Że nasz znajdujący się na końcu świata kraj też zostanie zalany przez tę inwazję i wszystkie nasze wioski i miasta, od Rennes, a nawet przed Rennes, po Brest, Saint-Nazaire, Lorient, Saint-Malo zostaną zajęte przez wroga.

Kto ze starych świadków naszej dwudziestowiecznej historii mógłby przypuszczać, że pod koniec okupacji zobaczy jeszcze Rosjan? Jednakowoż ci ostatni nie mieli nic a nic wspólnego z tamtymi Rosjanami, którzy zjawili się w naszym mieście po 1917 roku. Ci uzbrojeni żołnierze należeli do armii generała Własowa, którzy ochotniczo zgłosili się do niej z niemieckich obozów jenieckich. Dostrzec ich można było na naszych ulicach w małych i wąskich furmankach ciągniętych przez małe koniki. Często towarzyszyły im żony w długich i szerokich spódnicach oraz w chustach na głowach. Zmuszało nas to do myślenia o ich pradziadach, którzy trafili do Francji pod koniec przegranych przez Napoleona wojnach cesarskich.

Tak samo jak było to 11 Listopada 1918 roku, Rosjanie i Amerykanie zniknęli po ogłoszeniu końca II wojny światowej. I tym razem jeszcze morze się wycofało. Znowu powróciła wiara i nadzieja, a więc i odbudowa, i rozbudowa – początek nowej epoki. Epoki wielkich i licznych zespołów mieszkalnych, wież, parkingów (te zaczęły powstawać nawet na cmentarzach!), autostrad, fabryk, które, jak nam wmówiono, są potrzebne, aby polepszyć nasz byt, a które codziennie rzucają nam w twarz swoją śmiertelną truciznę.

*

Kilka lat temu telewizja francuska postanowiła „zrealizować” film dokumentalny o Bretanii, a mnie przypadł wielki zaszczyt pełnienia roli przewodnika przy boku Jeana-Marie Drota, który miał zostać jego „realizatorem”.

Prawdę powiedziawszy, jeżeli opuszczając Saint-Brieuc znaleźmy cel naszej podróży, to jej marszrutę nie za bardzo. Zgadzałyśmy się obaj co do tego, że decydować będzie w dużej części przypadek, czyli po prostu nasza fantazja – odrzuciliśmy rygory wyprawy naukowej jak i czysto

turystycznej. Wyjeżdżając, wiedzieliśmy tylko tyle, że dotrzemy aż do kresów świata, a więc do Carnac, la Pointe du Raz, po drodze zaglądając do Rostrenen, Morlaix, Quimper, aby zahaczyć w końcu o Douarnenez.

Nie wiedzieliśmy również, ile czasu zabierze nam ta podróż. Moim zdaniem były to najlepsze warunki do takiej wyprawy. Byliśmy trochę jak włóczędzy. I tak wiosennego poranka wyruszyliśmy w drogę z Saint-Brieuc w towarzystwie dwóch dużych aut z „technicznym wyposażeniem”.

Tego roku wiosna zawitała do Bretanii wcześniej niż zazwyczaj. Cudowna, świeża zieleń w czystym, otwartym i przejrzystym krajobrazie. Poczuliśmy się, jak uczniowie na wakacjach. Zdawało mi się, patrząc na znane widoki od lat, że tym razem odkryję je jakby po raz pierwszy.

Jadąc prosto przed siebie, zatrzymywaliśmy się w każdym momencie, kiedy wpadaliśmy w zachwyt przed cudownym widokiem, przestrzenią, milczeniem krainy, jej barwą, złocistomiodowymi żarnowcami, barankami na łące, kościołem, kaplicą, kalwarią, źródłem. Im dalej w stronę Atlantyku, tym więcej po drodze kalwarii, tym więcej mistycznych świadectw ludzkiej obecności zapisanej w granicie, a na koniec niepokojąca i tajemnicza wspólnota kamiennych szeregów w Carnac – jedno z najbardziej świętych miejsc świata, które do naszych czasów pozostało niewyjaśnione i takim pewno pozostanie...

Możliwe, że za bardzo po drodze się ociągaliśmy, że za dużo chcieliśmy zobaczyć z tego, co nam się spodobało; możliwe, że zbyt długo pozostaliśmy w Douarnenez w nadziei, że ujrzymy wyłaniające się z morza zatopione miasto Ys²⁵. Albo za długo rozmawialiśmy z marynarzem w Concarneau czy chłopem w Huelgoat...Jakkolwiek było i jakakolwiek była przyczyna naszej niefrasobliwości czy obiektywnych, jak to się mówi, okoliczności, zmuszeni zostaliśmy do skrócenia naszej podróży i do poniesienia wędrowki aż na półwysep Quiberon, skąd mogliśmy statkiem popłynąć na Belle-Ile-en-Mer, jak i do rezygnacji z całodniowej wizyty w mieście portowym Brest. Ale czy trzeba jechać wszędzie? Czyż trzeba chcieć wszystko zobaczyć?

Nawet nie zwiedziliśmy wyspy Bréhat. Ledwo przejechaliśmy przez Saint-Michel-en-Braspart. Ale spacerując uliczkami Quimper, recytowaliśmy sobie wiersze Maxa Jacoba:

*Odnalazłem moje Quimper, gdzie spędziłem pierwsze piętnaście lat,
Ale lez swoich już nie odnalazłem.*

Jadąc w kierunku Concarneau, zatrzymaliśmy się w małym porcie rybackim. Stary marynarz, który naprawiał sieci, przerwał na chwilę swoją robotę, aby pokazać nam sprzączkę swojego pasa w kształcie serca. Taki pas noszony był niegdyś przez marynarzy na oceanicznych żaglowcach. „Przez serce do żołądka, ot co!”.

W Paimpol, na opustoszałym bulwarze Pierre’a Lotiego, o godzinie piątej po południu, usłyszeliśmy dźwięki akordeonu dochodzące z knajpki. Wchodzimy. Wewnątrz tańczy ze sobą około dziesięciu marynarzy. To załoga trawlera, która powróciła z dwutygodniowego pobytu na morzu. Żony siedzą na krzesłach ustawionych wzdłuż ścian, trzymając dzieci na kolanach. Akordeonista to też członek załogi. Siedzi przed bufetem.

Widząc nas, tancerze wyszli nam naprzeciw, wzięli pod ramiona i wciągnęli do tańca...

A Roscoff? Dlaczego nie pojechaliśmy do Roscoff?

Roscoff to przecież poeta Tristan Corbière (1845-1875). W wieku piętnastu lat znałem na pamięć wiele jego wierszy z *Amours Jaunes: La Lettre du Mexique, Bossu Bitor, Sonnet à Sir Bob*, ale nade wszystko *La Fin*, nadzwyczajną odpowiedź na *Océano nox* Victora Hugo.

*A więc wszyscy ci marynarze, kapitanowie
W tym wielkim Oceanie się pogrążyli...
Wyruszyli beztrosko w dalekie rejsy majtkowie*

²⁵ Miasto Ys (Is) – legendarna stolica królestwa bretońskiej Kornwalii, zatopiona przez Boga za karę za wszeteczne życie jej mieszkańców (celtycki odpowiednik Sodomy i Gomory).

*I zginęli – bo utonąć, skoro wypłynęli, musieli.
W porządku, to ich zawód, umarli w butach!*

Jeszcze żywi i napici idą na dno:

*Nie do dołu w ziemi, nie dla szczura na cmentarzu,
Ale do paszczy rekina poszli! Marynarska dusza
Zamiast kartofle gryźć od spodu,
Falami zalewana musi oddychać.*

Nigdy nie zapomnę tych wierszy, jak i epitafium, jakie Tristan Corbière sam sobie ułożył:

*Istota zrodzona ze sprzeczności:
Bogaty choć bez pieniędzy,
Energiczny choć bezsilny,
Wolny choć uwięziony,
Uczuciowy ale nie duchowy,
Przyjacielski ale bez przyjaciół,
Filozoficzny ale bez filozofii,
Miłujący ale bez kochanki,
Leniwy ale stale zajęty,
Cnotliwy ale grzeszny,
Znużony ale nienasycony,
Martwy ale ożywiony,
Życie swoje pilnie marnujący.
Ciało wyniszczył, rozum spoił,
Mając nadzieję bez przyszłości.
Umarł, choć na życie czekał,
Żył w oczekiwaniu śmierci.*

Chyba rzeczywiście za długo wałęsaliśmy się, ulegając własnym zachciankom – wielki grzech według tych, co przeliczają czas. Czy należało „narzucić” sobie marszrutę? Zaglądać do kolejnych edycji przewodników? My nie wzięliśmy żadnego. Precz wycieczki kontrolowane! Precz z trasami, których jest za dużo! Moglibyśmy, jak skrupulatni biurokraci, naczytać się opisów podróżników z minionych stuleci i zdecydować się na wyprawę ich tropem. Na przykład śladami Normandczyka Dubuissona Aubenay’a, który przemierzył Armorykę około 1630 roku albo niejakiego Jouvina z Saintonge, który mniej więcej pięćdziesiąt lat później uczynił to samo, czy wreszcie Arthura Younga, angielskiego erudyty i agronoma, który podróżował pieszo w epoce rewolucji francuskiej. Albo bliżej naszych czasów – śladami Flauberta, Maxima du Campa, nie ryzykując jednak dłuższego pobytu na plaży, na której Flaubert po wizycie w Saint-Brieuc zanotował po prostu: *nic*²⁶. Albo dalej, na inny sposób, bardziej zbliżony do tradycji, ponowić na własny rachunek „Tro-Breiz”, rodzaj nieco obecnie zapomnianej pielgrzymki, taką „wyprawę po całej krainie”, świętą wędrówkę polegająca na odwiedzaniu siedmiu świętych założycieli Bretanii: świętego Samsona w Dol, św. Tugduala w Tréguier, św. Pola w Saint-Pol-de-Léon, św. Coentina w Quimper, św. Paterne’a w Vannes, św. Malo w Saint-Malo²⁷. Prawdę powiedziawszy uważam, że myśmy wcale o tym nawet nie pomyśleli. Naturalnie, moglibyśmy podążać od dzwonnicy do dzwonnicy, od katedry do katedry, od zamku do zamku albo postanowić, że kierować będziemy się wyłącznie do miast, które zostały rozświetlone przez wielkich ludzi: przykładowo rzeźbiarz Michel

²⁶ Gustave Flaubert (1821-1880) – wielki francuski pisarz, m.in. autor epokowej powieści „Pani Bovary”, w wieku 26 lat wraz ze swoim przyjacielem Maximem du Campem objechał całą Bretanię (dziennik podróży *Par les champs et par les grèves*).

²⁷ Pielgrzymka ta – na fali ogólniejszego odrodzenia życia religijnego, w tym fascynacji starodawnymi pielgrzymkami do europejskich miejsc świętych – cieszy się ponownie dużym powodzeniem.

Colombe urodził się w Saint-Pol-de Léon na początku XVI wieku, a swoje arcydzieło, grobowiec ostatniego księcia Bretanii, wykonał w Nantes; natomiast de la Tour d'Auvergne (1743-1800), oficer Republiki i językoznawca bretoński urodził się w Carhaix; lekarz i obrońca języka bretońskiego Laënnec (1781-1826) – w Quimper, a Alain René Lesage (1668-1747), sławny autor przygód Gila Blasa de Santillane w Sarzeau, skąd także pochodziła skromna i niesłusznie zapomniana Marie Le Franc (1879-1964), francusko-kanadyjska pisarka. Na pewno nie zapomnielibyśmy o Jeanie Fréron (1718-1776) z Quimper, którego Voltaire, jego przeciwnik, uczynił sławnym, a który, jak to się mówi, niepozbawiony był talentu.

Daleko nie szukając, znaleźlibyśmy i kolejną, sporą liczbę wielkich nazwisk godnych naszego hołdu – Ernesta Renana (1823-1892), François-René de Chateaubrianda (1768-1848). I jeśli pozostał we mnie jakiś żal po naszym wielkim objeździe łowców widoków to ten, że nie pojechaliśmy na końcu do ich rodzinnych miejscowości – do Tréguier i Combours.

Przez cały czas wydawało mi się to „odpowiednie”, żeby przed zakończeniem eskapady udać się do Tréguier, aby z jednej strony pozdrowić naszego wielkiego Saint Yves'a, patrona Bretanii, a z drugiej – naszego wielkiego Renana, którego zastalibyśmy siedzącego na kamiennej ławie w głębi placu w pobliżu katedry, z głową nieco pochyloną w stronę ramienia w cieniu gęstego tu listowia i kontynuującego medytacje nad kondycją człowieczą, nieustannie zastanawiającego się nad własnym stwierdzeniem, iż *prawda jest chyba smutna*.

W Combours postawilibyśmy inne pytanie temu geniuszowi, jakim był Chateaubriand, a mianowicie – tak jak on je sam zapisał, jak mniemam, przed swoją śmiercią (4 lipca 1848 roku) – czy nadal wierzy, że *inwazja idei okaże się gorsza niż inwazja barbarzyńców?*

Żeby być w porządku, to 19 maja wypadaloby znaleźć się w Tréguier, ponieważ 19 maja obchodzona jest uroczystość świętego Yves'a, patrona Bretanii, natomiast 26 lipca przypada święto świętej Anny, od trzech stuleci patronki Bretanii, której uroczystość obchodzona jest w Auray.

Yves Helory opiewany jest w kantyczkach w całej Bretanii jako święty nieporównywalny z jakimkolwiek innym świętym, co na pewno obraziłoby jego skromność, gdyby nie uznał, że jest to po prostu objaw wdzięczności ze strony biednych ludzi, których całe swoje życie chronił, bronił przed biedą oraz niesprawiedliwością. To człowiek z XIII stulecia, zrodzony ze szlachetnie urodzonych rodziców w miejscowości Minihiy koło Tréguier, który wcześniej – chociaż rodzice pragnęli jego ożenku – wybrał stan duchowny. Ksiądz Yves Helory, tak rozpoczyna się o nim każda opowieść. Powiada się, że był wzorem miłosierdzia i sprawiedliwości. Rozdał swoje dobra ubogim, z nimi spożywał posiłki, dawał im zboże, bronił w sądach, wybudował dom, w którym zamieszkali i biedni, i chorzy. Zmarł w wieku pięćdziesięciu lat. Wkrótce uznano go za świętego. Bretania przyjęła go za swojego patrona jak i adwokaci z całego świata – widać dobrze to było podczas obchodów 700-lecia urodzin świętego, które świętowano 19 maja 1953 roku w Tréguier.

Tego wielce uroczystego dnia miasto Tréguier całe było ukwiecone, a tysiące przybyłych zewsząd pielgrzymów wypełniało katedrę, wylewało się na plac i ulice, kiedy celebrowano mszę i bito w dzwony. Wszystko zaczęło się wczoraj wraz z przybyciem pielgrzymów do Minihiy, gdzie aż do rana odprawiano msze w obecności relikwiarza zawierającego kosteczki świętego Yves'a oraz jego brewiarz. Teraz w Tréguier oczekiwano na godzinę jedenastą, kiedy wyruszy procesja w kierunku dawnej drogi dziadów kościelnych – zazwyczaj szli nią żebracy w stronę Minihiy. Niezapomniane widowisko! Na zawsze zostanie w mojej pamięci. Procesja, która miała trwać więcej niż godzinę w każdą stronę (musiała przecież powrócić po uroczystościach w Minihiy), podążyła przez pola w wiosennym słońcu, z bogato tkanymi kościelnymi sztandarami, przy muzyce, fanfarach, z biskupami idącymi w otoczeniu duchowieństwa, kleryków w komżach oraz adwokatów w swoich strojach. Śpiewano po bretońsku i francusku. Ludzie, stojący jak i ja sam na poboczu drogi, wskazywali i nazywali przechodzących: oto parafianie z Tréguier ze swoimi chorągwiami i muzyką z Plouaret; tam idą przedstawiciele adwokatury z Francji, Portugalii, Belgii, Szwajcarii; oto dostojnicy kościoła w mitrach – kardynał i arcybiskup Lille, biskupi z Chartres, Nantes, Vannes, Laval, Orléans, Quimper, Angers, Saint-Brieuc; ojcowie z klasztorów w Boquen,

Kerbanéat, Landevennec; dwaj prałaci z Rzymu, arcydiakon z Tréguier oraz prałaci z tej diecezji. na końcu muzycy grający na biniou i bombardach oraz grupa marynarzy niosąca swoje narzędzia pracy i podążająca wokół wspaniałej makiety nowoczesnej łodzi.

Szczęśliwy, błogosławiony święty Yves! *Mirouër des ecclésiastiques, ornement de son siècle, avocat des pauvres, veufves et orphelins* („Lustro Kościoła, chluba swojego stulecia, adwokat biednych, wdów i sierot”).

*Santus Yvo erat brito
Advocatus sed non latro
Res miranda populo*

Za swojego jeszcze życia ocalił niemało ludzi przez utopieniem, leczył paralityków, przywracał wzrok niewidomym i zawsze kochał ubogich, dla których przed swoją celą trzymał garnek – wypełniał się on sam stosownie do potrzeb korzystających z niego biedaków. To był „cud garnka ubogich”.

Nie zapominajmy jednak, że jeżeli nasz święty Yves przepełniony był czułością, miłosierdziem i pragnieniem pomocy bliźnim, to również potrzebą sprawiedliwości. Nazywa się go przecież świętym Yves'em od Prawdy. Nie było roztropnie krzywoprzysięgać w jego obecności, a nawet niebezpiecznie wzywać go w niedobrej sprawie. Trzeba było bardzo uważać, aby nie stosować „gwester”. Słowo *gwir* w języku bretońskim oznacza tyle, co „prawdziwy”, a *gwester* znaczy tyle, co „zmuszać kogoś do złożenia przysięgi” przed św. Yvesem, że mówi prawdę. Zresztą fałszywy świadek umierał w ciągu roku.

*

Jako typowy Bretończyk często opuszczałem mój kraj, ale jednak stale doń powracałem. Uważam, że dobrze go znam, gdyż wielokrotnie przemierzałem go w różnych kierunkach i bywałem w wielu miejscach. Jednak to w Saint-Brieuc czułem i czuję się najlepiej i na swoim miejscu, chociaż nie znajduję tu nic lub prawie nic z tych wszystkich rzeczy, które tak kiedyś pokochałem.

Czyż moje stanowisko zaliczyć można do typowego zachowania „miłośnika” przeszłości? Czy zaraz wpadnę w koleiny stereotypów starzejących się ludzi, którzy wychwalają to, co minęło, a krytykują to, co dzieje się dzisiaj? Mam nadzieję, że nie. Stawiając pytanie, czy Bretania pozostaje nadal Bretanią, a Saint-Brieuc Saint-Brieuc, postaram się odpowiedzieć na nie sprawiedliwie, nie popadając w śmieszność oczerniania teraźniejszości kosztem przeszłości. Kilka dni temu fryzjer z ulicy Chapitre powiedział mi, że mały plac Puits-au-Lait, zresztą zachowany, stracił właśnie swoją nazwę. Już nawet zerwano z muru emaliowaną tablicę z jego nazwą. Placyk stanie się częścią lub przedłużeniem dawnego placu Marché-au-Blé, który zresztą od lat tak się nie nazywa, ponieważ przemianowano go wcześniej na plac Théâtre, żeby pod koniec II wojny światowej przekształcić w plac Résistance. Miasta jak ludzie mają swoje historie. Zmieniają swój wygląd wraz z upływem czasu. Przekształcają się tak, że to, co dla nas jest nowe, okaże się stare dla naszych dzieci i wnuków. Musimy się z tym prawem pogodzić. Atoli kto zaneguje, że między tym, co było a tym, co jest, że między tym, co jest a tym, co będzie czai się niezgłębiona przepaść, która jest powodem naszych poważnych obaw? Łatwiej byłoby nam zaakceptować utratę przeszłości, gdybyśmy mieli dobre powody do wiary w piękną przyszłość.

Spaceruję ulicami i spotykam wszędzie sklepy zwane „uniprix”, banki, wieżowce. Często się zastanawiam, co te wielkie i pospiesznie wzniesione budowle, których jest pełno we Francji i całej Europie, mają w sobie specyficznego? Wszystkie są podobne. A co z nimi się stanie, kiedy zaczną się walić? Nic – usunie się je po prostu. To prawda, nie znajdzie się ani kawałeczka muru godnego zachowania w muzeum. Zawsze mi się wydawało, że pierwszą myślą architekta, jeszcze zanim budowla powstanie, powinna być refleksja nad tym, jaka będzie z niej ruina pod koniec jej żywota.

Ludzie nie żyją tylko chlebem, nie są również przygotowani do tego, aby mieszkać w domach ze stali i betonu, a więc materiałów stosowanych do budowy więzień. Lepiej byłoby, gdyby ich domy

mogły mieszkańcom tak dobrze „leżeć”, jak „leżą” na nich ubrania wykonane na miarę, które nie krępują naturalnych ruchów oraz czynności, gdyby w ogóle całe zespoły mieszkalne „leżały” odpowiednio w krajobrazie, w którym miasto (z nich się składające) jest budowane.

Nowe budownictwo jest wszędzie podobne, więc wygląd miast w Bretanii, jak gdzie indziej zresztą, ujednocila się. W każdym mieście są te same kasy oszczędności Crédit Agricole, centrale telefoniczne, supermarkety, do których jeździ się autem na cotygodniowe zakupy. Te same kina.

Monotonia tej geometrycznej i funkcjonalnej brzydoty podstępnie nas atakuje i w rezultacie zabija w nas resztkę wrażliwej duszy. Musimy bardziej uważać i być świadomi niebezpieczeństw, które na nas czyhają.

W okolicach 1930 roku liczba mieszkańców Saint-Brieuc nie przekraczała trzydziestu tysięcy. Między V wiekiem n.e. a 1930 r., co daje tysiąc czterysta trzydzieści lat (niedługo będzie to półtora tysiąca lat) nasze miasto „zrodziło” trzydzieści tysięcy dusz i to wszystko.

W przeciągu wieków nie zostały oszczędzone temu miastu żadne nieszczęścia i klęski: inwazje, wojny wewnętrzne i zewnętrzne, bunt – jak chłopskie powstanie przeciwko podatkom królewskim zwane *Révolte du Papier Timbré* w 1672 roku za czasów Ludwika XIV, a później ludowa insurekcja szuanów (*szuaneria*) przeciwko rewolucji francuskiej; a dalej – głód, dżuma, cholera, pożary, wielka wojna z lat 1914-1918, w której zginęło tak wielu Bretończyków... Ileż to razy miasto to zmieniał swój wygląd? Wbrew wszystkiemu przetrwało, idąc wytrwale do przodu, aby na początku XX stulecia stać się cichą i niewielką, bo trzydziestotysięczną zaledwie miejscowością, której większość mieszkańców stanowili kupcy i robotnicy, mający nadzieję na koniec wojen, na ustanie tych wielkich historycznych zmagania i niedoli.

A jednak miasto to musiało w połowie XX wieku poznać jeszcze ten nowy i olbrzymi kryzys związany z inwazją symbolizowaną swastyką, która pojawiła się nad miastem wraz z jej samolotami i bombami.

Ileż to razy wraz z zapadnięciem nocy dochodziły do naszych uszu „rozmowy” przelatujących wysoko po niebie alianckich samolotów Royal Air Force? Leciały często i powracały z Brest, Lorient, Saint-Nazaire, gdzie pozostawiały za sobą ruiny. Na samym końcu zbombardowane i spalone zostało Saint-Malo. Z tego całego tumultu Saint-Brieuc wyszło obronną ręką z zaledwie nieznacznymi stratami. Już wkrótce powróciło do roli „przyjemnego miasta”, którym cieszyło się w poprzedniej epoce i „żywego centrum turystyki”. Czekala je natomiast nowa plaga – mania gigantyzmu.

Dzisiaj, a mamy 1973 rok, liczba mieszkańców Saint-Brieuc wzrosła nieprawdopodobnie. Obecnie jest ich prawie dwa razy tyle, ile było w 1930 roku, czyli w latach 1930-1973 powiększyła się o tę samą liczbę co przez całą swoją historię do 1930 r.²⁸

Prawdą jest, że nowe miasto wybudowane zostało głównie na peryferiach. Nazywa się je dzielnicą przemysłową. Zresztą takie dzielnice spotyka się wszędzie.

Coraz większa liczba mieszkańców to jednocześnie wzrost liczby osób, które są tu obce, przyjezdne. W Bretanii, ale i w całej Francji, utraciliśmy nasze korzenie. Wykorzenienie jest chorobą, na którą cierpią ci, co musieli osiedlić się i pracować w miejscach, których sami nie wybrali.

Ta „inwazja” jest jak fala, a mieszanie się całych populacji jak „wir”. Cała Francja składa się z takich osób w ruchu, nomadów, przyjezdnych. Młoda dziewczyna rodem z Marsylii spotyka w Paryżu młodzieńca z miasta portowego Brest. Tworzą parę i pobierają się. Kończą studia i zostają

²⁸ Saint-Brieuc jest stolicą departamentu Côtes d’Armor i głównym ośrodkiem administracyjno-handlowym; liczy około 50.000 mieszkańców, od niedawna uniwersyteckim (filia uniwersytetu w Rennes; w sumie blisko 4 000 studentów w kilku szkołach wyższych); najwięksi pracodawcy to merostwo, rada generalna departamentu, szkolnictwo; ostatnio rozwój portu morskiego Légué; warto zwiedzić niewielką starówkę z majestatyczną katedrą oraz urozmaicony krajobraz nadmorski malowniczej zatoki Saint-Brieuc. Departament Côtes d’Armor od 1991 roku oficjalnie i owocnie współpracuje z województwem warmińsko-mazurskim (wcześniej olsztyńskim). Symbolem tej współpracy jest funkcjonowanie od 1993 roku samorządowego Centrum Polsko-Francuskiego Côtes d’Armor-Warmia i Mazury w Olsztynie.

funkcjonariuszami państwowymi. Jedno dostaje posadę w Nancy, drugie w Angoulême. Jeśli mają szczęście, dostaną w końcu posady w tym samym mieście, np. w Limoges albo Perpignan. A gdzie zamieszkają w tym czasie ich rodzice i dziadkowie? W ten sposób rodziny rozdzielają się, aby w rezultacie o sobie zapomnieć.

*

Panuje opinia, że Bretania wyludnia się, ponieważ coraz trudniej ludziom ubogim udaje się tutaj jako tako wiązać koniec z końcem. To prawda. Wielu z nich zmuszonych jest udać się do Paryża w poszukiwaniu zarobku, zatrudniając się w metrze lub gdziekolwiek na te osiem lub więcej godzin pracy dziennie, co pozwoli im wyżywić rodzinę, powrócić wieczorem na kilka chwil, aby po nocnym odpoczynku rano być świeżym i dyspozycyjnym.

Zakładano w projekcie „decentralizacji”, że ludzie powinni zostać u siebie i tu pracować. Ale, niestety, okazało się, że jest to możliwe najczęściej w przypadku zmiany zawodu. Jeżeli ktoś jest rolnikiem na małym gospodarstwie i nie daje sobie rady z jego utrzymaniem, musi, z braku innych dochodów, zatrudnić się jako prosty robotnik w fabryce, które zlokalizowana została w jego regionie, niekiedy w odległości pięćdziesięciu kilometrów od miejsca zamieszkania.

Skoro tak, to należy sytuację tę zmienić na lepszą! Przecież robotnicy są nadal potrzebni!

Pewnego dnia byłem obecny na projekcji filmu dokumentalnego na ten temat. Wiem więc o czym mówię, kiedy przywołuję los tych licznych drobnych rolników zmuszonych przez obecne warunki życia do opuszczenia gospodarstwa i zatrudnienia w fabryce.

Pierwsze obrazy na ekranie wyróżniały się doskonałym pięknem. Ujrzeliśmy o świcie chłopca i konia na polu. Koń ciągnął pług, który prowadził mężczyzna. Po tym klasycznym obrazie pracy na roli zobaczyliśmy rolnika, wracającego do zagrody. W izbie wokół stołu siedziała żona z dziećmi przy śniadaniu – kawa, pieczywo z masłem. Idealny obraz zdrowej i typowej rodziny – rodzice w sile wieku między trzydziestką a czterdziestką, dzieci, niektóre całkiem nawet duże, zadbane i wyglądające na szczęśliwe. Ojciec siada za stołem, kroi sobie chleb, nalewa kawy do czarki. Pada niewiele słów, tyle tylko co zwykle o pogodzie, o ważnych obowiązkach, o których nie wolno zapomnieć, nic jednak o tych nowych okolicznościach, którym trzeba będzie się poddać...

Właściwie po co rozmawiać o rzeczach już postanowionych, na które poza tym nie ma się wpływu?

Wszyscy czekają na warkot motoru zapowiadającego przyjazd samochodu. Kiedy motor ucicha, to sygnał, że samochód czeka przed domem. Mężczyzna wstaje. Żona podaje mu chlebak z drugim śniadaniem. Zakłada go na ramię i szybko wychodzi, nie patrząc na pozostałych. Widać go, jak wsiada do ciężarówki, gdzie siedzą już inni mężczyźni. Samochód codziennie będzie zabierać ludzi do pracy oddalonej o pięćdziesiąt kilometrów. Piękna wycieczka na początek dnia.

Ciężarówka jedzie przez piękny region – zagajniki leśne, równiny, rzeczki. Jedzie szybko, musi przecież zdążyć na czas, chociaż nadal jest jeszcze wcześnie.

Samochód zatrzymuje się na dziedzińcu fabryki. Pasażerowie wysiadają. Jest ich około dwudziestu. W milczeniu podążają do głównego budynku. To, co najbardziej uderza w ich postawie, poza milczeniem, to powolność kroków, rytmiczne poruszanie rękami. Jakby byli rekrutami w garnizonie. Kolejne obrazy pokazują już sceny z lekcji nauki zawodu.

Instruktor wybiera spośród stojących w półkolu słuchaczy jednego z nich. To proste. Zaraz zrozumiecie. Instruktor wskazuje rząd aut stojących na szynach w głębi hali. Te samochody poruszać się będą na wprost was jeden za drugim. System ten nazywa się „praca taśmowa”. Bierze przewód z pojemnikiem podobnym do gaśnicy. To urządzenie do malowania natryskowego. Każdy przesuwany się samochód należy tak pomalować. To nietrudne. Można się nauczyć. Chodzi o to, aby złapać właściwy rytm, ponieważ na każdy samochód jest wyznaczony określony czas. Wszystko to wypowiedziane znaczącym tonem: „Nie jesteście przecież głupi. Jeżeli innym się udało, to i wam się powiedzie!”

Dzień pracy, osiem godzin, zakończony – w południe zjedzone zostało drugie śniadanie. Powrót do domów. I znów piękna przejażdżka tym razem w zachodzącym słońcu.

Nigdy nie zapomnę powagi rysującej się na twarzach tych pouczanych mężczyzn, ich uważnych spojrzeń i milczenia. Mężczyzn, którzy dotąd jak ich ojcowie i dziadowie nie zajmowali się niczym innym jak uprawą roli! Twarze ludzi odważnych, którzy ulegli ale się nie poddali, podobne do twarzy innych ludzi, na przykład rolników widzianych przeze mnie w latach 1934-1935 w czasie sprzedaży ich zadłużonych własności czy bezrobotnych w Saint-Brieuc, których zatrudniano na drogach jako brukarzy²⁹

*

Jeszcze nie tak dawno życie w Bretanii, jak zresztą we wszystkich regionach Francji, charakteryzowało się stabilnością. Miasta i wioski bretońskie zaludnione były poczciwymi ludźmi, którzy nigdy nie opuścili swojej dziury i wcale się tego nie wstydzili. Paryża nie znano. A potem? Teraz zewsząd ludzie wałą do Paryża z byle powodu. Sieć kolejowa wszystko zmieniła. Odległość z Paryża do położonej najdalej prowincji pokonać można w jedną noc pociągiem. Jedzie się nie wiadomo dlaczego, bez widocznego powodu, ponieważ wszyscy się śpieszą, ponieważ podróżowanie stało się łatwe, ponieważ należy posługiwać się środkami, jak to się mówi, udostępnionymi przez postęp. W rezultacie, nie można tego zanegować, od kilkunastu lat dokonały się wielkie przeobrażenia. Ale przecież można również je osądzać, krytykować ich skutki i konsekwencje, pytać o to, czy jest lepiej niż było; jakie to powoduje koszty i dokąd to nas prowadzi. Nie pragnąc przecież powrotu do przeszłości, można się jednak zapytać, czy warto było tak się trudzić, aby osiągnąć obecny chaos i kłopoty.

Czyżby nasi przodkowie byli mądrzejsi od nas? Jeżeli byli, to o tym nie wiedzieli, ale my, my już wiemy, że nie mamy racji. Dawniej był czas do dyspozycji, korzystano z niego, wędrowano pieszo, spotykano się na drogach, zatrzymywano i rozmawiano na poboczach. Dzisiaj jest to niemożliwe. Ludzie korzystają z aut. Ostatecznie, kiedy się zobaczą, dają sobie szybki znak ręką. Nie pisze się listów, ale telefonuje. Niegdyś urządzano długie piesze wyprawy po okolicy. Tu i ówdzie byli krewni. Odwiedzano ich, wyprowadzano psa. Od dawna jest to niemożliwe. Za dużo aut na drogach. Pies może zostać rozjechany. Wszystko kiedyś odbywało się w tempie, który sprzyjał rozmyślaniam. W mieście pełno było drobnych handlarzy i rzemieślników. Sklepiarz palił kawę przed swoim sklepem. Zapach unosił się po całej dzielnicy. Kowal kuł żelazo na kowadle, a dzieci zatrzymywały się, aby popatrzeć, jak przykładał rozpaloną do czerwoności podkowę do skwierczącego i dymiącego podówcza kopyta konia. Sprzedawca ryb pojawiał się na ulicach ze swoim wózkiem ciągniętym przez osła i krzyczał na całe gardło, że ma piękne makrele złowione jeszcze tej nocy. W dni targowe ludzie grupowali się wokół śpiewaków. Refren powtarzano chórem. Sporo kupców „wycofywało się” po pięćdziesiątce, aby przekazać interes synowi. Oni sami natomiast stawali się rentierami, którzy z laseczką w ręku spacerowali po parku. Słodkie szczęście!

W tamtych czasach słyhać było stukot końskich kopyt na brukowanych ulicach. Teraz nie słyhać. Nawet gdyby zachowały się jakieś konie, to i tak odgłos ich kopyt zagłuszony zostałby warkotem aut. Przez cały dzień słyhać było także dzwonienie dzwonów katedry. To kościelny poruszał dzwonami, wieszając się sznurów, które porywały go w powietrze. Dzwony wtedy nie były jeszcze zelektryfikowane.

Już nie słyhać dzwonów na katedrze. Tylko w nocy!

Kawiarnie były takie same jak w końcu XIX stulecia: mieszczkańskie, spokojne, z kolumnkami, ławki obite czerwonym aksamitem. Lekarz, notariusz, podróżny kupiec w porze aperitif zasiadali

²⁹ Rolnictwo i przemysł spożywczy to najważniejszy sektor produkcji w Bretanii (14% zatrudnionych); Bretania jest produującym we Francji regionem rolno-spożywczym, hodowlanym, rybackim. Intensywna gospodarka rolna (w tym szczególnie hodowla świń i drobiu) spowodowała jednak znaczące zanieczyszczenie środowiska. Presja środowisk partyjnych związanych z interesami rolników, rozbuchana chęć zysku (wspierana dotacjami rządowymi oraz szczególnie Unii Europejskiej) to druga strona medalu „gospodarczego cudu bretońskiego”. Inne sfery aktywności w Bretanii to telekomunikacja oraz elektronika, a także przemysł samochodowy, budowa statków.

do partyjki manili. Orkiestra złożona z pianisty, skrzypka i wiolonczelisty grała walce wiedeńskie. Dzisiaj mamy *juke-box* (szafy grające), bilardy, a same kawiarnie odwiedzają wyłącznie długowłosi młodzieńcy. Nasze stare kawiarnie zostały zmodernizowane. Wszystko teraz jest niklowane. Wymyślono „życie wieczorne”, a nawet nocne. Rozpowszechniły się *boîtes* (kluby) i lokale takie same jak w Paryżu czy w całej Europie. Czerwone światło, niski sufit, sztuczne ścianki, ogień w wielkim, kamiennym kominku.

Nasi dziadowie pogodzeni byli z faktem, że całe ich życie toczyć się będzie w cieniu parafialnego kościoła, w którego pobliżu wydani zostali na świat. Nie uważali się za ludzi upokorzonych. To, co cementowało prowincję, to była autonomia jednostki, która będąc u siebie, żyła na własny rachunek. Obecnie jednostka – zalewana cywilizacją, popychana zewsząd przez państwo (to najokropniejsze monstrum!) – stała się faktem społecznym, który musi odpowiadać na nieskończoną ilość wymagań sprzecznych z jej powołaniem. Niepewność i groźby, które wynikają z sytuacji całego świata, ciężą na człowieku, niszczą klimat, docierając aż do spokojnych pól. Wszystko się miesza w sposób straszliwy. Hałastrą, zamieszanie, hałas albo trafniej – zgiełk są wszędzie, a czyż nie jest tak, że samotność i cisza są pierwszymi warunkami do życia refleksyjnego, do budowania samego siebie, do rozwijania wnętrza? A co to jest za życie, jeżeli nie ma w nim miejsca i czasu na refleksję? Czy życie w samotności jest jeszcze możliwe? A w społeczeństwie?

Nie ma się na nic już więcej czasu: nie ma czasu na lekturę, a znajduje się mimo wszystko czas na chodzenie na imprezy sportowe, na zebrania stowarzyszeń, różnych partii, na mityngi, msze i na oglądanie telewizji. Jeżeli nikt nie ma czasu na lekturę, to znaczy, że współczesne kobiety i mężczyźni odrzucają sytuację, która wymagałaby od nich wycofania się i milczącego skupienia, bo tego wymaga czynność czytania. Już nie szuka się różnicy, ale podobieństwa. Oryginalność dzisiejsza polega na zachowywaniu się tak jak inni. Jeszcze nigdy nie widziano tak wielkiego zwycięstwa mody. W całej rzeczywistości.

Współcześnie „chroni się” krajobrazy, ale nie chroni się ludzi. Zresztą oni sami się nie chronią. Pozwalają się popychać to tu, to tam jak ślepe konie, nie pytając o cenę, jaką im przyjdzie zapłacić za ten zbyt ciężki ładunek, którym się obładowali i który ich samych przybija.

Czyż można „zawiesić” proces historyczny? Tak jak podróżnik może zatrzymać się na skraju drogi w celu oceny sytuacji: „Stop, zobaczmy co tam się dzieje?!”. Ludzie nawet nie pytają się więcej dokąd idą i po co. A każdy chce żyć. Ale dlaczego, dokąd, jak i z kim? Mówi się dużo o przyspieszeniu historii. Ale za naszych dni historia po prostu galopuje! Uwaga na zakrętach!

Życie jest nieustanną rozrywką, które nie pozostawia nawet czasu na uświadomienie sobie od czego ono tak ucieka – powiada Franz Kafka. Jeśli to prawda, a tak jest, to jakie sobie przygotowaliśmy nowe, bezużyteczne, nienaturalne sposoby na dalsze „rozrywanie się” ?

*

Jeśli prawdą jest, że istnieje wrażliwość bretońska, charakter bretoński, czy nawet „los” bretoński właściwy ludziom tej rasy, to wydaje mi się, iż poeta Tristan Corbière, pisarz Villiers de L’Isle-Adam, filozof Jules Lequier – sobie współcześni i równie, jak dzisiaj by się powiedziało, „aspołeczni” – są dobrymi tego przykładami. Wszyscy trzej nieustannie walczyli przeciw światu oraz życiu, byli chorzy, biedni, dumni, pyszni, nie szli na kompromis z otaczającym światem, na który patrzyli z wysoka, którym pogardzali jeszcze bardziej, niż on nimi pogardzał. Cała trójka stosunkowo wcześniej zmarła: Corbière (1845-1875) w wieku 30 lat w Morlaix; hrabia Philippe Auguste Mathias de Villiers de L’Isle-Adam (1838-1889) urodził się w Saint-Brieuc, a zmarł w szpitalu Frères de Saint-Jean de Dieu w Paryżu w wieku 51 lat³⁰. Co do Jules’a Lequiera, którego nazywano „francuskim Kierkegaardem”, bliskiego przyjaciela filozofa Charlesa Renouviere (1815-

³⁰ L. Guilloux błędnie podaje rok 1840 jako datę urodzin Villiersa de l’Isle-Adama. Corbière pochodził z bogatej, mieszczańskiej rodziny, jego ojciec był znanym „notablem i wziętym literatem”.

1903), to on za swojego życia, ciężkiego życia, które trwało zaledwie 48 lat (urodził w Quintin w 1814, a zmarł tragicznie w lutym 1862 r.) nie opublikował nic.

Wszyscy trzej byli ludźmi o stosunkowo trudnym charakterze, możliwe że nawet nieco szaleni, co nie powinno skłaniać do pogardy. Za swego życia byli zapoznani. W każdym razie niektórzy.

To od Jeana Greniera, jak tylko się zaprzyjaźniliśmy, usłyszałem po raz pierwszy o Jules'ie Lequierze. Spotkaliśmy się w miejskiej bibliotece, a następnie umawialiśmy się codziennie na Promenadzie, jak obiegowo nazywano w Saint-Brieuc ogród publiczny. Aby tam dotrzeć, przechodziłem przed domem rodzinnym Villersa na rogu ulicy Saint-Benoît i Saint-Guillaume. Dom ten zniknął w 1938 roku, na jego miejscu nie zbudowano podobnego domu, lecz całą kamienicę.

Promenada to piękne i najczęściej o tej wczesnopołudniowej porze puste i ciche miejsce. Upodobaliśmy sobie szczególnie wielką, ocienioną listowiem aleję. Obecnie tę piękną aleję dewastują samochody tutaj parkujące. Jean miał dziewiętnaście lat, ja – osiemnaście. Właśnie otrzymał tytuł licencjata z filozofii. Pewnego dnia zabrał mnie do Plermont.

W odległości siedmiu czy ośmiu kilometrów od Saint-Brieuc w kierunku plaży Rosaires znajduje się nadal dom, w którym Jules Lequier spędził ostatnie lata swojego życia³¹. Był wiosenny albo letni dzień 1918 roku. Wojna jeszcze się nie skończyła. Przypuszczaliśmy, że i my weźmiemy w niej udział. Aczkolwiek tego dnia, kiedy wyruszyliśmy na piechotę do Plermont, nie rozmawialiśmy o niej – a w ogóle dużo o niej dyskutowaliśmy – lecz o problemie wolnej woli, predestynacji, tajemnicach chrześcijaństwa itd., o tym wszystkim, co stanowiło zasady filozofii Lequiera, a nawet istotę jego życia i śmierci. Jean Grenier już wcześniej zdecydował, że przeczyta i opublikuje dzieła, które filozof pozostawił. Rzeczywiście ukazały się one w dwóch tomach: *La philosopie de Jules Lequier* oraz *Lequier, œuvres complètes*.

Jean Grenier we wstępie do swojej książki *Philosophie de Jules Lequier* ukazał najważniejsze i najmocniejsze wpływy, jakim poddany został filozof. *Trzeba podkreślić, że na osobowość Lequiera, pisał, równie silnie wpłynęło wychowanie katolickie, co sam jego rodzinny kraj. To nie jest bez znaczenia, że Lequier urodził się w Bretanii, z rodziców Bretończyków, że tutaj spędził całe swoje życie. Wchłonął w siebie tutejszą melancholię i zamięłowanie do marzenia, które charakteryzują kraje celtyckie i powodują, iż romantyzm nabiera tu prawdziwie głębokiej natury, podczas gdy w krajach ukształtowanych całkowicie przez kulturę łacińską jest on zaledwie fasadą. W dzieciństwie Lequier oddychał atmosferą, która była dla niego czymś czarodziejskim, chociaż później stała się szkodliwa... Bretania popiera anarchizm – nieświadomy u ludzi niewykształconych, świadomy u myślących. Powołanie do absolutnej niezależności odnaleźć można w umysłach tak różnych osobistości, jak Pelagiusz, przeciwnik jakiegokolwiek predestynacji, Chateaubriand, Lamennais, Renan itd. Lequier w pewnym sensie odegrał w XIX stuleciu taką samą rolę jak Pelagiusz w średniowieczu. Co do wpływu rodzinnego kraju na filozofa to wypada dorzucić, iż wpływ ten wzmocniony został faktem, że w tym czasie romantyzm był w pełnym rozkwicie*³².

W roku urodzin Jules'a Lequiera (1814) Quintin było zaledwie dużą osadą handlową, oddaloną około dwudziestu kilometrów od Saint-Brieuc, w której mieszkało ponad trzy tysiące

³¹ Dom ten, należący do zbudowanego z granitu gospodarstwa rolnego usytuowanego niedaleko klifu, dzisiaj jest także zachowany i zamieszkały.

³² Félicité Robert de Lamennais (także La Mannais, 1782-1854) sławny francuski ksiądz i myśliciel katolicki pochodzenia bretońskiego, zwolennik socjalizmu utopijnego (jeden z pierwszych „teologów wyzwolenia”), który z powodu krytyki oficjalnego Kościoła został wykluczony z niego przez papieża Grzegorza XVI; współpracował z Adamem Mickiewiczem, obrońca sprawy polskiej; autor m.in. głośnej książki *Paroles d'un croyant* (1834). Pelagiusz (ok.354-42), celtycki teolog i twórca jednej z największej herezji w dziejach chrześcijaństwa, z którą zaciekle walczył św. Augustyn (dawny manichejczyk). Pelagiusz zwalczał manichejską fascynację grzechem pierworodnym. Uważał, że człowiek jest obdarzony wolną wolą i rodzi się bez zmyły grzechu pierworodnego. Grzech może popełnić tylko człowiek świadomy dobra i zła, czyli wolny. Ostatecznie pelagianizm został potępiony na synodzie w Orange w 529 roku. Kościół celtycki długo wyznawał idee pelagiańskie.

mieszkańców. Było to główne miasteczko kantonu położone na terenie wiejskim i bardzo klerykalne, jak zresztą i samo Saint-Brieuc, gdzie dosyć szybko przenieśli się rodzice Lequiera. Matka filozofa była bardzo religijna. Dzieciństwo Lequiera, jak podkreśla Jean Grenier, musiało być silnie nasycone melancholią oraz atmosferą religijną, która panowała również w collège'u w Saint-Brieuc, gdzie wszyscy nauczyciele oraz dyrektor byli księżmi, podobnie jak w collège'u Stanislas w Paryżu, w którym Lequier pobierał ostatnie nauki, zanim w wieku dwudziestu lat wstąpił do Ecole Polytechnique. Poznał w niej Charlesa Renouviera, z którym przyjaźnił się do końca życia. To wówczas po raz pierwszy Lequier pokazał swój „zły charakter”. Po niezdanym końcowym egzaminie na Politechnice wzburzony, ze spiętymi rysami twarzy, podszedł do generała, który przewodniczył komisji, skrzyżował ręce, spojrzał mu w oczy i rzekł: „Panie generale, są dwie wersje sprawiedliwości – pańska i moja”. I zrezygnował.

Wrócił do Saint-Brieuc, gdzie zmarł niedawno ojciec. Prowadził życie samotne, zobojętniał na religię. Świadomy jednak był swojej wartości i liczył na sławę. Wycofał się do domu w Plermont, który pozostawiła mu matka zmarła w 1843 roku i całkowicie poświęcił pracy oraz medytacjom. W samotności jego wyobraźnia skierowała się na niebezpieczne tory. Po „kryzysie” leczył się u doktora Blanche'a w Passy. Ten kryzys nie osłabił jego zdolności intelektualnych, ponieważ po wyzdrowieniu powrócił do pracy. Niestety roztrwonił majątek i jako biedak pojawił się znów w Paryżu, gdzie został wykładowcą. Następnie pracował jako profesor w Lons-le-Saulnier oraz w Besançon, gdzie też ujawnił „złe” cechy charakteru. Wszystkie te szkoły były szkołami katolickimi. Besançon opuścił, wytaczając proces arcybiskupowi. Uważał, że jest prześladowany.

W końcu powrócił do domu w Plermont, gdzie prowadził wraz ze starą służącą życie nad wyraz skromne. Powrócił też do religii i ostentacyjnej pobożności z lat dziecięcych. Każdego wieczoru udawał się pieszo do kościoła w Saint-Brieuc na nabożeństwo. Pielgrzymował bez jedzenia czterdzieści kilometrów. Okazywał wiele dobroci dzieciom, włóczęgom, zwierzętom. Dał schronienie choremu i niezdolnemu do pracy na roli młodzieńcowi. Jego przyjaciele w Saint-Brieuc pomagali mu finansowo bez jego wiedzy.

Lequier stale pracował i rozmyślał nad swoimi niezmiennymi tematami: poszukiwanie prawdy pierwszej, co to jest wolność, tajemnice chrześcijaństwa. Spacerował po wybrzeżu, rozmawiał z nadmorskimi celnikami, schodził codziennie nad morze, aby bez względu na pogodę kapać się.

Od lat kochał się romantycznie w pannie Dezille, przyjaciółce jeszcze z dzieciństwa, z którą obficie korespondował. Ojciec Dezille przeciwny był ich małżeństwu. W 1862 roku zmarł, a Lequier nabrał nadziei. Niestety, został ponownie odrzucony przez swoją wybrankę. Niewątpliwie na jej negatywną decyzję wpłynęły opinie środowiska, które w filozofie widziało jedynie człowieka biednego, zawiedzionego, wręcz szalonego.

Ten wstrząs, który nałożył się i na inne, zniszczył całkowicie jego psychikę i doprowadził do stanu krytycznego.

11 listopada 1862 roku po zapadnięciu nocy Lequier zszedł na plażę w towarzystwie służącego (na pewno tego chorowitego chłopaka), zanurzył się w wodzie i popłynął prosto w stronę otwartego morza. Płynął tak dopóty, dopóki starczyło mu sił. Można sobie wyobrazić, że ostatnią jego myślą było przekonanie: „Niech Bóg uratuje mnie, jeśli chce...”

Jego ciało odnalezione zostało jeszcze tego samego wieczoru o godzinie dziewiątej przez oddział celników na brzegu tej samej zatoki, na plaży Rosaire.

Louis Guilloux

Louis Guilloux

Wspomnienie o Jeanie Grenierze

Piątego marca 1971 roku Jean Grenier umiera w Vernouillet, w domu opieki, gdzie przeniesiono go - z myślą iż jest wyleczony - po dwóch pobytach w klinice. Mój najdawniejszy przyjaciel, przyjaciel całego życia od lata 1917 r., kiedy spotkaliśmy się w miejskiej bibliotece w Saint-Brieuc. Był ode mnie o rok starszy. Dobrze przy nim się czułem, on ze mną również. Razem odczuwaliśmy spokój, którego nam brakowało, gdy musieliśmy przebywać z innymi. Nasze myśli uzupełniały się i wyprzedzały. On i ja, ja i on, wszystko przyjmowaliśmy razem i przekazywaliśmy sobie z równą łatwością. Wydaje mi się, że toczyłem z nim przez całe życie tę samą rozmowę, rozpoczętą podczas naszego pierwszego spotkania.

Poszliśmy prosto przed siebie, spacerowaliśmy po plaży całe popołudnie, nie przestając ani przez chwilę zadawać sobie pytań, ani na nie odpowiadać. Wszystko omówiliśmy: Boga, oczywiście miłość, wojnę, na którą niewątpliwie pójdziemy pewnego, nieodległego dnia, Rewolucję. Jak się mają sprawy w Rosji? Zupełnie niedawno ujrzeliśmy własnymi oczami informację w prasie, iż właśnie abdykował car...

Jak to się stało, że ani mój nowy przyjaciel, ani ja sam nie spotkaliśmy się wcześniej? Trzeba było przypadku, żeby odnaleźć się w bibliotece. Jeśli nie spotkaliśmy się wcześniej to dlatego, iż on uczył się w Saint-Charles, a ja w innym liceum. Nigdy uczniowie tych dwóch szkół nie spotykali się. To prawda. *Prowincja*, jak mówiono. Urodził się w Paryżu, ale jego matka już po roku rozwiodła się i powróciła do Saint-Brieuc, skąd pochodziła, dlatego Jean spędził swoje dzieciństwo i młodość w tym mieście.

- A czym obecnie się interesujesz?
- Lequierem.

Zbyt dużo nie wiedziałem o Lequierze. Słyszałem o tym nieszczęśliwym filozofie, który skończył tragicznie. Wiedziałem, że ma swój grób i rzeźbę swojej postaci na malutkim cmentarzu w Plérin, ale to było wszystko. Lequier był filozofem i poetą. Człowiek nieprzeciętny jakkolwiekby na niego nie patrzeć. Urodził się w Quintin. Uczył się w collège'u w Saint-Brieuc, rozpoczął studia na Politechnice, którą opuścił z hukiem. Został profesorem i po wielu perturbacjach i procesach z wieloma ludźmi osiadł pod koniec życia w Plermont, gdzie odnalazł wiarę z lat dziecięcych. Spacerował po wybrzeżu i rozmawiał z celnikami o wielkich problemach, które go trapiły, a szczególnie o problemie zła. Od młodości kochał się w młodej, szlachetnej dziewczynie, której rodzina nie chciała zgodzić się na ślub. Tak więc pewnego wieczora zszedł na plażę w Tournemine, jak miał to w zwyczaju robić codziennie, kiedy była ładna pogoda i odpowiednia pora roku, aby się wykapać. Tego dnia wypłynął na pełne morze, myśląc, jak przypuszczano że jeżeli Bóg zechce go ocalić, to ocali.

- I co, Bóg go ocalił?
- Nie.

Od dłuższego czasu planowaliśmy wspólną wyprawę do Plermont, aby zobaczyć dom, w którym Lequier mieszkał pod koniec życia. Poszliśmy tam pewnego popołudnia pod koniec lata. Był to długi spacer w kierunku morza, aż dotarliśmy do wąskiej, polnej drogi, przy której stał drewniany drogowskaz z nazwą la Ville-Gaudu. Znaleźliśmy się pośrodku pól. Z trudnością odczuwaliśmy oddaloną obecność morza. Poszliśmy jeszcze dalej, aż odkryliśmy zagajnik. To właśnie w tym zielonym zagajniku skrywał się dom, stary, wielki dom z granitu, zbyt duży dla samotnika, jakim był Lequier, który mieszkał w nim wraz ze starą służącą. Nie ośmieliliśmy się wejść. Jean wiedział, że właścicielami są teraz chłopci. Przez niewielką bramkę w kamiennym murze, który otaczał podwórze porośnięte wysoką trawą, rzuciliśmy spojrzenie, aby ujrzeć to

wielkie podwórze, a w głębi sam dom, cały szary, którego fasada miała liczne okna. Była to budowla dwupiętrowa, być może pozostałość po spadku, który zostawił mu ojciec lekarz, niezwykle - jak zapewnił mnie Jean – człowiek. Rzeczywiście, to musiało być dobre miejsce na schronienie. Pomimo iż byliśmy latem, to jednak sam dom, jak i to co go otaczało, wydawał mi się pozbawiony światła. Było dopiero popołudnie, a przecież wszystko pokryte było czymś w rodzaju warstwy ciemności. Dopiero na polnej drodze, która prowadziła na plażę Tournemine, kiedy oddaliliśmy się od domu, znów odnaleźliśmy dzienne światło. To była ta sama droga, którą musiał iść Lequier, aby dojść do morza, co czynił aż do końca swych dni o piątej godzinie każdego popołudnia. Przyjaciele znali jego kłopoty, uważając go za lekko „stukniętego”. Mówili o nim, że „żyje w obłokach”. Jean widział w Lequierze doskonały przykład choroby, którą nazwał później „chorobą celtycką”. Być może nie było to nic innego, jak odmowa podporządkowania się temu światu, zakład o „inny świat”, jak to było w przypadku Villiers de l’Isle-Adama czy Tristana Corbière’a?

Louis Guilloux

Jean Grenier

Wspomnienie o Louis Guilloux

Poznałem Louis'a Guilloux pewnego wakacyjnego dnia w bibliotece miejskiej, gdzie pożyczał książki, a ja spędzałem całe popołudnia szczęśliwy, że mogę pozostawać zamknięty w środku Przeszłości – nie byle jakiej przeszłości, ale takiej, która zawierała wyłącznie rzeczy ważne i przede wszystkim nie napawała mnie osobistym żalem. Ludzie, przez których książki wędrowałem, byli dla mnie jak moi współcześni. Jednym z moich marzeń było zamknięcie – jak inni myśleli o Kościele – w bibliotece. Mógłbym w niej grzebać, aż do odkrycia tomów całkowicie nieznanymi i zawierających nieznaną prawdę, podobny w tym do radosnego Fausta sprzed kryzysu, kiedy nie rzucił się jeszcze w świat zmysłów.

Zupełnie odmienną koncepcję biblioteki miał Louis. Jeśli do niej chodził to dlatego, że nie miał dosyć pieniędzy, aby kupować interesujące go książki, lub że nie znajdował takich książek w miejscowych księgarniach. Prosił od razu o książki, które chciał wypożyczyć i wychodził. To prawda, że w bibliotece zabronione było palenie papierosów, co powodowało, że biblioteka w jego oczach traciła połowę swojej atrakcyjności. Poza tym czuł się w niej niezbyt dobrze, jak w więzieniu. Brakowało mu świeżego powietrza. Lubił tylko te książki, w których autor mówił do czytelnika albo bohaterowie rozmawiali między sobą, takie książki, które zarazem są namiastką i przekształceniem życia.

Rozmowa między nami nawiązała się łatwo. Mieliśmy co najmniej jedno zamiłowanie wspólne – książki, pomiędzy chłopcami w tym samym wieku nie trzeba więcej. Nasza rozmowa potoczyła się na różnorodne tematy, nie tylko o książkach.

Louis był całkowicie szczęśliwy w swoim kraju. Przechadzał się spokojnie po polach, szeroko wdychając świeże powietrze, uważnie przyglądając się krainie, która rozciągała się wokół niego, jakby próbując odgadnąć jakiś malowniczy jej zakątek, mający mu pomóc w wyobrażeniu sobie historii albo raczej ciekawego człowieka, któremu przydarzyło się coś wyjątkowego. Czy padało, czy świeciło słońce, jemu wszystko było jedno, chociaż szczególnie upodobał sobie mgłę i mglistą pogodę, która skrywała życie ludzi pod opiekuńczym okryciem, umożliwiając im zachowanie tajemnicy, jaką tylko pisarz mógł rozwikłać. Pasjonowały go studia nad człowiekiem. Zresztą przede wszystkim swoje „śledztwa” prowadził nad jedną społecznością, prawdę powiedziawszy najmniej sympatyczną, nad miejscową burżuazją, zanurzoną w przesądach, w miłości do pieniędzy zbieranych bez radości ich użycia, w pogardzie dla robotników i służących, łasej na szybkie spadki i posagi.

Jeśli chodzi o mnie, to przede wszystkim miałem nadzieję szybko opuścić tych ludzi, jak i tutejszy klimat, który, jak mniemałem, ich zrodził. Nie domyślałem się, że wyjeżdżając zabiorę ze sobą ten świat, do którego należałem i którego byłem jednym z elementów, że wszędzie ścigać mnie będzie to złudzenie, że (ulubioną) Krainę Śródziemnomorską – zamiast widzieć ją bez maski i bezpośrednio – oglądać będę przez Bretanię. Jako człowiek Północy znalazłem upodobanie w krajach Południa. Louis nie potrafił opuścić Saint-Brieuc, gdzie urodził się i miał swoich bliskich.

Jean Grenier

Centrum Polsko-Francuskie Côtes d'Armor-Warmia i Mazury w Olsztynie (Dom Bretanii na Warmii i Mazurach) od lipca 1993 roku służy regionalnej, samorządowej współpracy międzynarodowej, poczynając od rolnictwa i turystyki poprzez demokrację lokalną, sport i oświatę pomiędzy francuskim departamentem Côtes d'Armor w Bretanii a województwem warmińsko-mazurskim w Polsce. Od 2003 roku Centrum specjalizuje się w inicjowaniu oraz organizowaniu współpracy kulturalno-artystycznej, szkolno-młodzieżowej, społeczno-edukacyjnej. Prowadzi kursy jęz. francuskiego na wszystkich poziomach, bibliotekę, czytelnię, galerię sztuki, organizuje spotkania literackie i kulturalne.

Dom Bretanii w Poznaniu od maja 1993 roku służy rozwojowi wszechstronnych regionalnych kontaktów polsko-francuskich i polsko-bretońskich. Współpracuje z departamentem Ille-et-Vilaine. Jego zadaniem jest promocja Bretanii i Francji w Wielkopolsce. Organizuje kursy języka francuskiego i innych języków romańskich, Dni Kultury Francuskiej, Dni Bretanii, Dni Frankofonii, prelekcje, spotkania, koncerty. W Domu Bretanii, świetnie usytuowanym w kamienicy przy przy Starym Rynku, znajduje się biblioteka, galeria, sale do nauki języków.

Dom Bretanii w Wałbrzychu powołano w 1995 roku. Obecnie najważniejsze cele programowe to popieranie i rozwijanie zdecentralizowanej współpracy pomiędzy bretońskim departamentem Morbihan ze stolicą w Vannes z Wałbrzychem i jego regionem, rozwój wszechstronnych kontaktów polsko-francuskich, w tym promocja gospodarcza oraz współpraca szkolna, kulturalna, turystyczna, sportowa. Stowarzyszenie Dom Bretanii w Wałbrzychu działa na zasadach społecznych i posiada status organizacji pożytku publicznego.

Centrum Polsko-Francuskie Côtes d'Armor-Warmia i Mazury

10-542 Olsztyn

ul. Dąbrowszczaków 39, I p.

tel.089/527 63 73; fax 089/534 99 33

e-mail: info@cpf.olsztyn.pl

www.cpf.olsztyn.pl

Dom Bretanii w Poznaniu

Stary Rynek 37

61-722 Poznań

tel. 061/851 68 51; fax 061/851 68 50

e-mail: dom@dombretanii.org.pl

kultura@dombretanii.org.pl

www.dombretanii.org.pl

Dom Bretanii w Wałbrzychu

ul. Zamkowa 3

58-300 Wałbrzych

tel.074/843 43 07;fax 074/844 05 08

e-mail: dbr@dombretanii.walbrzych.com.pl

www.dombretanii.walbrzych.com.pl

Fabryka opon „Stomil” w Olsztynie powstała w 1967 roku. W grudniu 1995 r. francuski koncern Michelin kupuje większościowy pakiet akcji Stomil-Olsztyn, rozpoczynając nową epokę w dziejach firmy. W styczniu 2005 zmodernizowana i powiększona fabryka w Olsztynie i agencja handlowa Michelin Polska w Warszawie łączą się w jedną firmę Michelin Polska S.A. W nowej fabryce Michelin pracuje ponad 4 tysiące pracowników, stale zwiększając produkcję i ofertę.

www.michelin.pl

Claude Le Gall Bretania

Spis zdjęć w kolejności reprodukcji

1. Zatoka Kernic (Baie de Kernic) w pobliżu miasteczka portowego Plouescat, na północy departamentu Finistère, wybrzeże kanału La Manche.
2. Cléder – charakterystyczne dla Bretanii wybrzeże morskie, okolice Saint-Pol-du-Léon w departamencie Finistère, kamienna chatka celników, którzy kiedyś patrolowali cały wybrzeże.
3. Wybrzeże morskie nad kanałem La Manche w krainie zwanej Léon (północna część departamentu Finistère). Charakterystyczne elementy krajobrazu kulturowego Bretanii: granitowa kaplica i krzyż.
4. Gorges de Toul Goulic – malownicze przełomy rzeczki Blavet, której źródła leżą w środkowej Bretanii (departament Côtes d’Armor); charakterystyczne dla Bretanii granitowe głazy.
5. Gorges du Corong – inny potok w środkowej Bretanii zwany Follezou, który miejscami całkowicie znika pod granitowymi głazami i skałami.
6. Plouescat (Finistère) nad kanałem La Manche - wybrzeże morskie zimą.
7. Wzgórze Saint-Michel de Brasparts (318 m.) w łańcuchu wzgórz zwanych Monts d’Arrée; w Bretanii są starogórza zwane Monts d’Arrée oraz Montagnes Noirs (centralna i zachodnia Bretania); są to niewysokie wzniesienia, ale dzięki wrzosowiskom, oddaleniu, mgłom i metafizycznej aurze przyczyniają się do budowania romantycznej symboliki celtyckiej krainy.
8. Saint-Michel de Brasparts o zachodzie słońca.
9. Plouescat (Finistère) – sztormowa pogoda.
10. Latarnia morska w Pontusval.
11. Miasto Saint-Brieuc (departament Côtes d’Armor); spotkanie w cieniu katedry.

Korekta
Monika Być

„Moja Bretania” Louis Guilloux jest kolejną książką w opracowaniu i tłumaczeniu
Kazimierza Brakonieckiego,
która ukazuje się z inicjatywy i nakładem Centrum Polsko-Francuskiego w Olsztynie.
Więcej informacji na stronie www.cpf.olsztyn.pl

Remerciements
aux Éditions Folle Avoine (texte) et à Claude Le Gall (photos)

ISBN 978-83-908534-8-2

*Louis Guilloux (1899–1980) najwybitniejszy prozaik francuski pochodzenia bretońskiego XX stulecia. Pochodził z rodziny rzemieślniczej, ojciec był szewcem w Saint-Brieuc i aktywnym socjalistą. Liceum w mieście rodzinnym ukończył bez matury. Imął się wielu zajęć, m.in. pracował jako dziennikarz i tłumacz języka angielskiego. W latach 20. i 30. XX stulecia związany z ruchem lewicowym, m.in. w 1936 roku towarzyszył André Gide'owi w jego słynnej podróży do Związku Sowieckiego, która Gide'a odstręczyła od komunizmu. W późniejszych latach i Guilloux zdystansował się od komunizmu stalinowskiego, wybierając opcję socjalizmu humanistycznego. Związał się z wydawnictwem Gallimard. Często przebywał w Paryżu, ale właściwie nigdy na dłużej nie opuścił rodzinnego miasta. Jako pisarz debiutował w 1927 roku powieścią *Maison du peuple*. Za *Jeu de Patience* (1949) otrzymał Prix Renaudot. Za najważniejszą książkę Louis Guilloux słusznie uważa się *Le sang noir*, 1935 („Czarna krew”, Warszawa, 1961), która – obok pierwszych powieści Malraux, Sartre'a, Celine'a – uznana została za wybitne osiągnięcie nowego kierunku literacko-filozoficznego zwanego „czarnym egzystencjalizmem społecznym”. Przyjaźnił się z Jeanem Grenierem oraz Albertem Camusem, który wysoko oceniał zaangażowane utwory Louis Guilloux.*

ISBN 978-83-908534-8-2